Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 15 maja 1938 r. Nr 20



Ciemna noc, w której gaśnie wzroku władza,
Ucho drażliwszym czuciem wynagradza:
I co ze zmysłu widzenia zabierze,
Spłaca słuchowi w podwojonej mierze.
Choć cię, Lyzandrze, nie widzę na przedzie,
Słuch za twym głosem ku tobie mię wiedzie.
Lecz czemużeś mnie opuścił tak z cicha?...

„Sen Nocy Letniej“ — Szekspir.

MAX DU VEUZIT

12)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Witam pana, doktorze. Jestem szczęśliwa iż zechciał pan podjąć się leczenia mego brata, zapewniała z czarującym uśmiechem; oby tylko się udało! Może pan jednak być pewny, iż niezależnie od wyników, zdobył sobie pan już z góry moją niezmierną wdzięczność.

— Przyrzekam pani wykorzystać całą moją wiedzę, by wyleczyć chorego. I mam nadzieję, że z pomocą Bożą, powrócimy mu zdrowie.

— Oh, niechże te słowa staną się prawdą, wyszeptała z nabożeństwem.

Do tej chwili stałam dyskretnie z boku. Widząc, iż Blanka prowadzi lekarza w głąb domu, zatrzymałam ją łagodnie.

— A teraz Blanko, uciekam. Do widzenia jak najprędzej.

Zatrzymała się, spojrzawszy na mnie z pewnym zdziwieniem.

— Jakto, odchodzisz?

— Chcę powrócić do Presec, zanim zmrok zapadnie.

— Sprowadzasz doktora, a później znikasz, gdy przyjechał!

Głos jej stał się nagle chłodny i nieprzyjemny.

— Zdawało mi się Blanko, że jesteś niezadowolona, iż wtrącam się do życia twego brata.

Wzruszyła ramionami.

— Masz przykre usposobienie, Sabino. Przez całe tygodnie robię dla Janusza wszystko, co ty chcesz. A teraz obrażasz się o jedno słowo!

Mówiła półgłosem, by doktor, który zdejmował płaszcz, nie dosłyszał jej.

Cofnęłam się gwałtownie nic na to nie odpowiadając, nie chciałam bowiem, by dojrzała łzy, które napłynęły mi do oczu.

— Rób jak chcesz, dodała. Moim zdaniem twoje miejsce jest tu aż do końca.

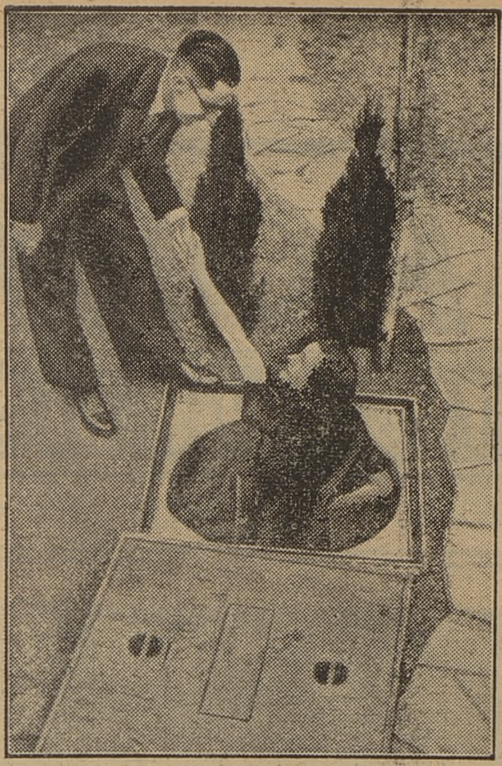
W tej chwili doktór zwrócił się ku nam. Blanka na nowo uprzejma i uśmiechnięta zaprowadziła go do sali, gdzie zwykle przebywał Janusz.

Pozostałam sama, wsparta o filar drzwi wejściowych, z oczami smutnie błądzącymi po otulonej mrokiem wieczoru okolicy.

Czułam się bardzo smutna i osamotniona w tym zapadającym zmierzchu. W Presec byłam sama z chorą, nieprzytomną babką, która bredziła całymi godzinami, jeśli nie spała. Tu, w Belle Vue — tolerowano mnie. Janusz de Saumarte, upierając się przy zachowaniu tajemnicy wobec swej siostry, uczynił mnie w jej oczach podejrzaną; była ona bowiem uosobioną prostotą i odnosiła się nieufnie do nędznych wybiegów, do których musiałam się wciąż uciekać, by ochraniać tajemnicę jej brata.

Niezdecydowana, nie mając odwagi odejść, a pragnąc równocześnie być daleko, stałam przy drzwiach wejściowych jak pies, który nie śmie wejść z obawy przed swym srogim panem.

Być może, iż w głębi serca chciałam, aby Blanka przyszła po mnie, lub co najmniej, aby się upewniła czy odeszłam. Była jednak zapewne przejęta obecnością lekarza, gdyż nie pokazała się więcej.



W parkach londyńskich wybudowano szereg schronów przeciwgazowych. Na zdjęciu wejście do jednego z nich.

Słyszałam, jak ktoś chodził w głębi domu, jak przesuwano krzesła; domyśliłam się, iż Blanka zasiada do stołu w towarzystwie chirurga.

Wtedy dopiero odeszłam do Presec.

Zupełne ciemności zapadły już jednak przez ten czas, gdy stałam w zamyśleniu. Perspektywa spaceru przez las o tej porze wcale mi się nie uśmiechała. Musiałam więc pójść traktem, okrążając pola i lasy: sześć kilometrów zamiast dwóch. Mimo to szłam dzielnie i około dziesiątej wieczór byłam w Presec.

Stara służąca nie mogła wyjść ze zdumienia, widząc mnie powracającą o tej porze.

— Byłam pewna, iż panienka przenocuje w Belle Vue. Zrobiłam już wszystko koło naszej chorej pani, nie spodziewając się powrotu panienki dziś wieczór.

— Nie chciałam zostawić cię samej. Zwykle tak bywa, że gdy jedna osoba odchodzi, zdarzają się jakieś nieprzewidziane trudności drugiej. Więc przyszłam! I jestem z tego bardzo zadowolona. Daj mi coś zjeść, Klaudyno, a potem idź spać.

— Panna Sabina nic nie jadła? zawołała ze zdumieniem służąca. Niczem nie poczęstowano panienki w Belle Vue?

Czułam, iż była niezmiernie zaciekawiona, nie miałam jednak najmniejszej chęci zaspokoić jej ciekawości.

— Usmaż mi prędko dwa jajka!

— I przyszła panienka piechotą... Co prawda, panna Blanka mogła pomyśleć o tym! W dodatku bez jedzenia!

Nieprzewidziany mój powrót musiał ją niepokoić, nazajutrz bowiem pierwszym jej zdaniem było zapytanie czy zaraz po śniadaniu udam się do Belle Vue.

— A może panna de Saumarte przyśle powóz po panienkę. Nie powinna przecież pozwolić na to, aby panienka znowu szła pieszo!

Nic jej nie odpowiedziałam na te pytania, musiała więc, chcąc nie chcąc, zamilknąć.

* * *

Ranek minął bez żadnych wiadomości z Belle Vue. Godziny dłużyły mi się niemiłosiernie.

Około południa jednak, w chwili, gdy zabierałam się do śniadania, Nador zatrzymał przed domem powóz, z którego wysiadła Blanka.

Uścisnęła mnie serdecznie:

— Oh, Sabino, jaka jestem zadowolona!

To entuzjastyczne powitanie napełniło mnie radością. Wydało mi się nagle, iż odzyskałam utraconą przyjaciółkę i jej zaufanie.

Blanka nie dała mi analizować dłużej mych wrażeń.

— Bierz prędko kapelusz i jedź ze mną do Belle Vue. Opowiem ci wszystko w drodze...

Wskazała jej ręką mój skromny posiłek: dwa jajka i purée z kartofli. To samo memu od wielu miesięcy, które pozwalało żyć ze zbiorów Presec nie rozwiązując mieszka.

Zaprotestowała żywo:

— Ależ nie będziesz teraz jadła. Spożyjesz śniadanie z nami w Belle Vue: doktór przy stole potwierdzi ci to wszystko, co ja teraz opowiem.

— Przede wszystkim jak się miewa twój brat? spytałam, gdyśmy już siedziały w powozie.

— Dobrze, a co ważniejsze, będzie się czuł jeszcze lepiej.

— A cóż doktór?

— Zbadał go i sądzi, iż wyleczenie jest możliwe.

— To jest osobiste przekonanie?

— Mówi, iż zdaniem jego, niema żadnych wątpliwości. Oh, Sabiny, jaka ja jestem szczęśliwa, od chwili gdy wpoił we mnie tę nadzieję.

— Wierz mi Blanko, iż jestem niemniej szczęśliwa od ciebie.

— O, ale to nie to samo; tu chodzi o mego brata!... A także o moje całe życie... Poświęciłam je przecież! Ponieważ nie dano mi żadnej nadziei na wyzdrowienie Janusza, powiedziałam sobie: „Żegnaj świecie!" I pogrzebałam moją dwudziestoletnią młodość, wraz ze wszystkimi marzeniami i ambicjami.

— Biedactwo!

— Ba! Wystarczy powiedzieć sobie, iż tak być musi, a wtedy siła do wykonania przychodzi sama.

— A teraz przewidujesz nowe perspektywy na przyszłość?

— Ah, już sama nie wiem czego się spodziewam, ani też co robi mój biedny mózg. Uleczenie Janusza! Mój brat w pełni władz umysłowych i fizycznych! To jest tak cudowne, iż boję się, bym się nie zawiodła, boję się wprost myśleć o tym!

— Tak, trzeba zawsze obawiać się rozczarowania.

— Ale pomyśl tylko, doktór twierdzi, iż jest zupełnie pewien i, jeśli tylko nie zajdzie coś niespodziewanego, wszystko musi się udać.

— Musi być rzeczywiście pewien rezultatów, jeśli tak twierdzi.

— Ten doktór jest nadzwyczajny! Gdybyś wiedziała Sabino, z jaką dobrocią

rozmawiał on ze mną. Wyczułam w nim jakby posłannictwo dla uleczenia mego brata. Gdyby znał nas od lat, nie mógłby być usposobiony bardziej przyjaźnie i życzliwie. Sabinko droga, jestem ci niezmiernie wdzięczna za sprowadzenie go. A tak się go bałam i miałam żal do ciebie, iż napisałaś do niego!

— Kierowałam się tylko chęcią przywrócenia zdrowia twemu bratu; muszę ci jednak wyznać, iż byłam bardzo zmartwiona, widząc twe niezadowolenie.

— Trzeba mi wybaczyć Sabinko; nie przypuszczałam, iż Janusz może być jeszcze uleczony.

— To dziwne! Od pierwszej chwili, gdy ujrzałam twego brata, miałam przeczucie, iż wiedza nie wypowiedziała tu jeszcze swego ostatniego słowa.

— Wiedza — oczywiście; powiedz jednak raczej talent, geniusz doktora Taillet!

Spojrzałam ze zdziwieniem na Blankę. Mówiłam z takim zapałem i zachwytem o młodym chirurgu, iż nie poznawałam w niej dawnej Blanki, zawsze opanowanej i zrównoważonej.

W czasie śniadania zrobiła jeszcze wiele innych spostrzeżeń. Przeobrażona twarz Blanki, gdy zwracała się do swego gościa i pełen szacunku, a równocześnie głęboki i pieszczotliwy głos lekarza, którym dawał jej odpowiedzi, wzbudziły we mnie przypuszczenie, iż między tym dwojgiem, poza ich świadomością zapewne na razie, zrodziło się uczucie, zbliżone do miłości.

Janusz nie brał udziału w tym śniadaniu, które spożywaliśmy w wielkiej, odświętnej sali jadalnej. Był to jeden z najpiękniejszych pokoi pałacu, zupełnie niezamieszkiwanych przez Blankę od chwili wypadku jej brata.

Gdy wstaliśmy od stołu, Blanka udała się po swój kapelusz, by zapoznać gościa z parkiem w Belle Vue; doktór zbliżył się tymczasem do mnie, mówiąc półgłosem:

— Wczoraj wieczór i dziś rano rozmawiałem długo z naszym chorym. Potem zbadałem dokładnie jego rany i doszedłem do wniosku, iż kompletne wyzdrowienie jest zupełnie możliwe.

— Czy wie pan, doktorze, że inni już próbowali?

— Ślepi! Nie znali rzeczywistego stanu umysłu chorego.

— Dopuszczali jednak możliwość nieuszkodzonego mózgu mimo kalectwa fizycznego. W tym przekonaniu stosowali odpowiednie zabiegi.

— Nie chcę powiedzieć, iż zabierali się do tego nieręcznie, lub nieumiejętnie. Pozwoli pani jednak, iż ja będę miał nadzieję na lepsze wyniki. W tym okresie gdy go leczono, wiedza nie miała jeszcze obecnych zdobyczy, lekarze mogli więc wątpić o skuteczności zabiegów. Moje próby wypadły szczęśliwie. Dziś metoda moja jest udowodniona. Nie mam pretensji do tego, by powiedzieć: „Mnie to się udał!" gdy inni nie mogli nic zaradzić, jestem bowiem w posiadaniu czegoś, co brakowało ich usiłowaniom i zasługa moja będzie tym mniejsza, że nie będę działał po omacku. Chirurgia czyni co dzień coraz większe postępy. Promienie Roentgena otworzyły drogę wszystkim możliwościom; teraz mamy ponadto ultra-fioletowe promienie i rad. Te ostatnie nie zdradziły nawet jeszcze wszystkich swoich sekretów. Proszę mi wierzyć, nie mogę się mylić; jestem pewny... zasadniczo pewny, iż wyleczę pana de Saumarte i proszę, by pani, widząc się z nim potwierdziła tę pewność, o której zakomunikowałem mu dziś rano. Trzeba, by miał on absolutne zaufanie do mnie i by wiedział, iż nic nie obiecuję bez zastanowienia; Jeśli mówię, że go wyleczę, mam na to całkowitą pewność.

— Trzeba zawsze przewidzieć jakiś nieszczęśliwy wypadek... Operacje udają się zawsze, tylko ich następstwa...

Przerwał mi jednak:

— Nie dopuszczam żadnych nieszczęśliwych przypadków. Żądam tylko tego, aby chory miał do mnie zaufanie, absolutne zaufanie i proszę, by pani dopomogła mi wszczepić w niego wiarę w uzdrowienie.

Skinęłam głową na znak zgody. Blanka nadeszła w tej chwili, musieliśmy więc przerwać rozmowę.

Pragnąc pozostać sama z Januszem de Saumarte, pozwoliłam im odejść. Czułam zresztą, że moja obecność między nimi, byłaby dla nich krępującą.

Gdy tylko Blanka nadeszła, chirurg nie widział nic poza nią, Blanka zaś zdawała się być zadowoloną, iż wyrażiłam chęć pozostania przy jej bracie.

Z uśmiechem na ustach patrzyłam za nimi: oboje piękni i dorodni, tworzyli dobraną parę.

Myślałam w zadumie:

— Prawdziwy piorun z nieba! Blanka wierzy już w niego jak w Boga. A on! Czy jest szczery w tym niemym uwielbieniu, którym ją otacza? Oh, jakbym tego pragnęła, gdyż, będąc zakochanym, uczyni wszystko co tylko w jego mocy, by uzdrowić brata, przez co siostra stanie się wolną. A ona tak bardzo zasługuje na szczęście!... Czyż nareszcie wybiła jej godzina szczęścia?

Skierowałam się bez pospiechu do Janusza. Gdy wchodziłam do pokoju, w którym się znajdował, zatrzymałam się wzruszona i pomyślałam:

— Każdy powinien mieć swą godzinę szczęścia; czy dla mnie nadejdzie ona kiedykolwiek?

Smutek mnie ogarnął.

— Osamotniona, biedna, nieładna, któż zwróci uwagę na niepokaźną sierotę?

Otworzyłam drzwi i wchodząc, rzuciłam spojrzenie na automat i jego okropną fizjognomię. Przeszył mnie dreszcz.

— Janusz de Saumarte! pomyślałam z udręką w duszy. Oto co przedstawia twoja godzina szczęścia, biedna dziewczyno!

Bolesny i drwiący uśmiech zakwitł na mych ustach.

— O przeznaczenie, jakiegoż pięknego kochanka dajesz mi! I pomyśleć, że później kiedyś, będzie to „najpiękniejsze" wspomnienie, jakie mi pozostanie z okresu młodzieńczych lat...

Stojąc w milczeniu przed Januszem, przyglądałam się z gorzką ciekawością temu szczątkowi człowieka, z którym, zdawało mi się, związany jest mój los.

* * *

Gdy Janusz mnie spostrzegł, był tak zadowolony, iż radość dodała mu sił, by powstać bez pomocy z fotela, w którym zwykle siedział.

Pomogłam mu utrzymać się na nogach.

— Jestem zachwycona, Januszu, nowinami, które przed chwilą mi zakomunikowano. Uzdrowienie jest możliwe! Miałam, mimo pewnych obaw, nadzieję. Ach, jakże byłabym szczęśliwa, widząc pana zdrowym.

Pochylił się do mych rąk, by je ucałować; potem, z energią, której nikt by w nim nie przypuszczał, pociągnął mnie w drugi koniec pokoju, gdzie znajdowały się drzwi, prowadzące do jego dawnego gabinetu, który pozostawał zawsze zamknięty od chwili wypadku.

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami i Janusz zaczął manewrować przy zamku, usiłując na daremnie otworzyć go.

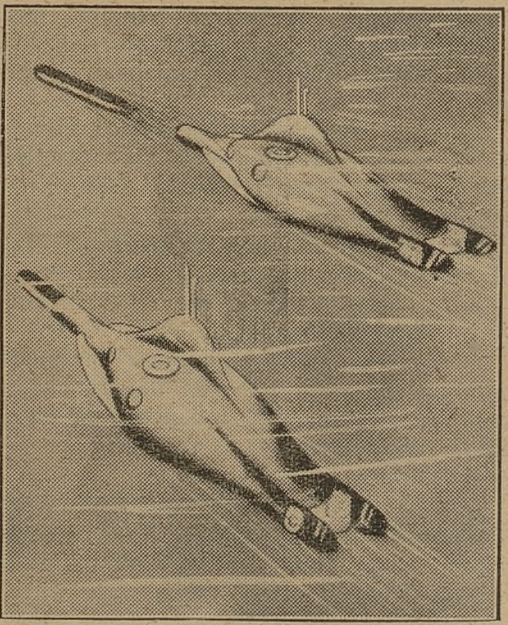
Zrozumiałam jego pragnienie i, nie zastanawiając się nad tym, co zamierzał, przekręciłam klucz, otwierając drzwi.

Westchnął z zadowoleniem, ciągnąc mnie znowu w głąb mrocznego, dawno niewietrzonego pokoju, zamknąwszy drzwi za nami.

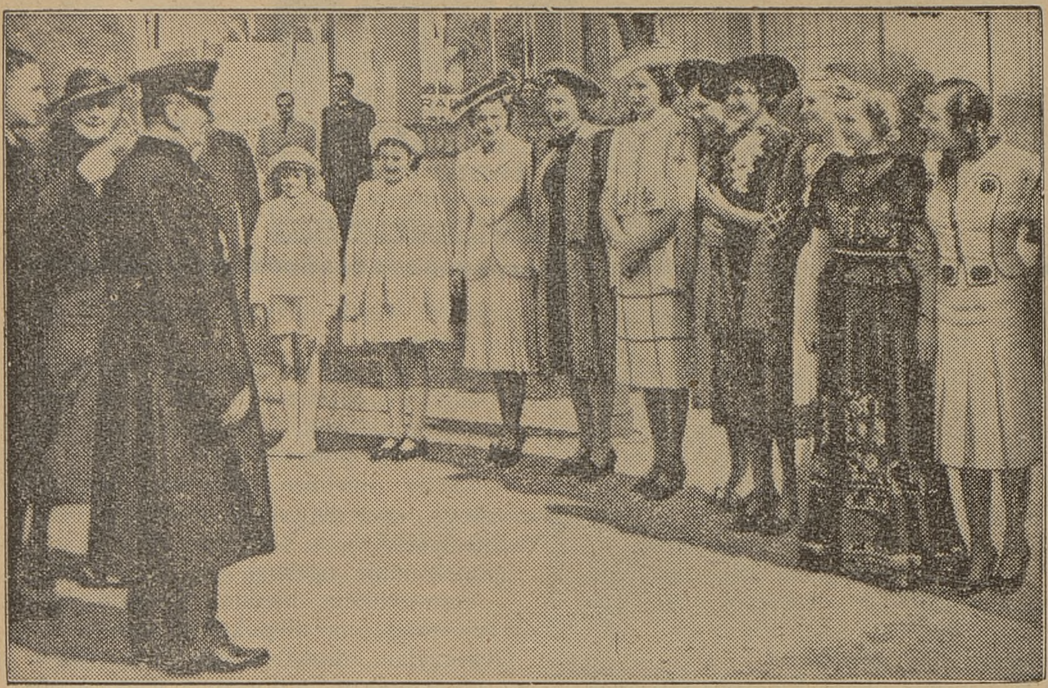
Patrzyłam na niego ze zdumieniem, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, poco tu przyszedł.

Na zniekształconej twarzy mego towarzysza dało się widzieć pewne odprężenie. Był widocznie zadowolony, znajdując się po tak długim czasie, w tym dobrze znanym pokoju. Twarz jego była jakby prze-





Podobno Stany Zjednoczone rozpoczęły budowę małych, dwuosobowych łodzi podwodnych, uzbrojonych w jedną torpedę.



Podczas uroczystości otwarcia Międzynarodowych Targów w Budapeszcie, regent Horthy z zainteresowaniem oglądał modele sukien węgierskich.

obrażona radością i w tym momencie automat wydał mi się prawie człowiekiem.

Puścił mi rękę i, powoli, dość pewnymi krokami przeszedł pokój, zatrzymując się przed sekretarzykiem z czarnego drzewa, stojącym między dwoma oknami.

Szukał po omacku zamków przy szufladach i zdawał się naciskać niewidoczne guziki.

Wodziłam za nim przerażonymi oczami, zadając sobie pytanie, czego on szuka.

Nagle rozległ się trzask rozciąganej sprężyny; otworzyły się drzwiczki, z poza których ukazały się ukryte szufladki, Janusz nie zwracał jednak na nie uwagi. Szukającymi palcami wodził po omacku po ściankach i, gdy wreszcie dotknął dwóch rozetek z bronzu, ujrzałam jak szufladki wysunęły się na niewidzialnych zawiasach, odkrywając tajemniczy schowek, którego nikt by się tam nie domyślił.

Rozbudzona ciekawość tłumiła we mnie wszelką inną myśl dotychczas. Na widok tej skrytki jednak drgnęłam i spostrzegłam od razu niezwykłość sytuacji.

Byłam zamknięta w tym na wpół ciemnym pokoju z nieszczęśliwym kaleką, którego każdy uważał za obłąkanego.

Co pomyślano by, gdyby znaleziono mnie tutaj, przed tymi otwartymi szufladami?

Czułam, iż rumieniec pokrywa mi czoło na myśl o przypuszczeniach, które można by powziąć na ten widok.

— Oh, Januszu, chodźmy, błagam pana; ja się boję.

Zwrócił ku mnie głowę. Zrozumiałam jego pytanie.

— Niech pan zrozumie.. gdyby nas tu zastano, powzięto by pewność, iż ja wyważyłam te szuflady... Nie chcę być posądzoną o niedelikatność... o kradzież może!

Wstrząsnął przecząco głową i dalej manipulował przy sekretarzyku.

Przerażenie ścisnęło mi serce, gdy ujrzałam, iż wydobył z głębi skrytki paczkę listów i szkatułkę z klejnotami.

— Januszu, błagam pana, chodźmy stąd. Ja się boję!

Spostrzegł wreszcie moje wzburzenie i klasnął palcami, jak gdyby chciał mi powiedzieć coś przeciwnego.

— Proszę, oto papier i ołówek; ale wyjdźmy stąd, będziemy rozmawiać gdzieindziej.

Schwyciłam go za rękę, chcąc go wyprowadzić, on jednak odsunął mnie energicznie. Niezręczne palce napisały kilka słów w notesie, który mu podałam.

— Niech się pani niczego nie obawia, Sabino, jesteśmy sami w pałacu. Prosiłem doktora, by zabrał stąd mą siostrę, chciałem bowiem po raz ostatni pozostać z panią we dwoje.

— Ktoś ze służby może nadejść.

— Nie. Żadne z nich nie pozwoliłoby sobie wejść do tego pokoju.

— Tym niemniej wolę być gdzieindziej.

On już jednak nie zwracał więcej uwagi na me słowa.

Rozpoczął na nowo swe poszukiwania, przesuwając pudełka z biżuterią.

Wreszcie znalazł widocznie to, czego szukał, gdyż westchnął z zadowoleniem.

Podając mi małe, safianowe pudełko, napisał w notesie:

— Proszę przyjąć ten klejnot, Sabino, i nosić go jako pamiątkę ode mnie, błagam panią.

Otworzyłam z wahaniem pudełko. Na bladym jedwabiu leżał pierścionek o kształcie markizy, błyskając wspaniałymi ogniami.

Nie znam się zupełnie na drogich kamieniach, wystarczył mi jednak rzut oka, by rozpoznać trzy duże brylanty, osypane rozetkami.

Włożyłam pierścionek na palec — rozbłysnął tysiącem blasków.

— Oh, to zbyt piękne, Januszu. Nie mogę przyjąć takiej pamiątki.

— Ależ to moje najgorętsze pragnienie; proszę, niech pani mi nie odmawia.

— Ale niech pan się zastanowi; nie będę mogła nosić tego.

— Dlaczego?

— Taki pierścionek nie może pozostać niezauważony i musiałabym zdradzić tajemnicę pana, tłumacząc pochodzenie tego klejnotu.

— Zachowa go pani, nie nosząc, aż do mego wyzdrowienia... lub do mej śmierci.

— Oh, nie przewidujmy takiej ewentualności, wówczas bowiem, więcej niż kiedykolwiek, nie ośmieliłabym się nosić klejnotu, który prawnie należy do siostry pana.

— Siostra moja nie zna tego pierścionka. Kupiłem go, by ofiarować go kobiecie, którą uważałem za najlepszą wśród najlepszych, za najpiękniejszą wśród pięknych. Żaden klejnot nie wydał mi się jej godnym i wybrałem ten, ponieważ był wysokiej wartości. Jakkolwiek nabyłem go za pieniądze z moich osobistych dochodów, krępowałem się nieco przyznać się siostrze do tak wysokiego wydatku, ukryłem więc chwilowo pierścionek, czekając odpowiedniej okazji na wręczenie go wybranej. Niestety! Wojna rozwiała wszystkie me złudzenia; szlachetne złoto zamieniło się w w pospolity metal, a pierścionek pozostał w swym ukryciu.

— I teraz ofiarowuje go pan mnie!... Chce pan utwierdzić się w swym rozczarowaniu.

— Niech pani tak nie mówi, Sabino. Jest pani dziesięć razy godniejsza od innych kobiet hołdu mężczyzny.

— Mimo wszystko, skromna sierota nie zgadza się na przyjęcie pierścionka takiej wartości!

— Błagam panią, Sabino, niech pani mi nie odmawia. Ten klejnot nie przedstawia już dziś dla mnie żadnego symbolu; zrobi mi pani wielką łaskę przyjmując go, mimo iż został wybrany dla innej.

— Och, nie to mnie powstrzymuje od przyjęcia, zaprotestowałam.

— Niechże więc pani nie pozbawia mnie tej radości i zechce przyjąć pamiątkę ode mnie.

— Proszę zrozumieć: to jest za drogie, za piękne! Niech pan mi ofiaruje coś bez wartości.

— Pani się myli, Sabino; to właśnie wartość tego pierścionka skłoniła mnie do prośby, by pani zechciała go przyjąć.

— Jakto?

— Klejnot ten przedstawia znaczną sumę. Ani pani, ani ja, nie wiemy, co kryje przyszłość; jest pani zależną od starej, zdziwaczałej i nieznośnej kobiety. Niech pani mi pozwoli czuwać nad sobą. Będę spokojniejszy, wiedząc, iż jest pani w posiadaniu tego pierścionka. Jeśli będę musiał umrzeć, Sabino, odejdę spokojnie z myślą, iż moja biedna przyjaźń, może się jeszcze pani na coś przydać, gdy ja już będę w grobie.

Wstrząsnęłam się; łzy napłynęły mi do oczu.

— Och, Januszu, Jak pan może myśleć o takich smutnych rzeczach!

— Umierający powinien wszystko przewidzieć... Groźba śmierci, wisząca nade mną w czasie zabiegów, którym się poddam, zmusza mnie do tego, bym o niczym nie zapomniał.

W jego argumentach było tyle subtelności, iż nie wiedziałam już, jakie mam wysunąć obiekcje.

— Myślę jednak, iż pierścionek ten powinien właściwie dostać się Blance.

— O, protestuję. Moja siostra jest dość bogata; pozatem przykro było by mi, aby miała ona coś wspólnego z moimi osobistymi, niezbyt miłymi wspomnieniami. Zresztą, proszę...

Pośród licznych pudełek z klejnotami wybrał jedno, z białej skórki i otworzył je, ukazując inny pierścionek. Był to wielki szafir, otoczony drobnymi brylantami.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

81)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Powiedz mi dziecko moje, co ciebie właściwie ciągnie do Europy?

— To moja rzecz — odparła Francis szorstko, a co ty chcesz w Europie?

— To moja rzecz — naśladował ją Bill w odpowiedzi.

Nastąpiła chwila milczenia, którą znów dobrotliwy Bill przerwał.

— Wiesz co — rzekł pojednawczo — po co mamy się gniewać? Schowaj ty swoją tajemnicę dla siebie, a ja swoją dla siebie i niech to będzie rodzajem ugody między nami! Czy zgadzasz się na to?

— Tak — odparła Francis.

— A więc jesteśmy znów przyjaciółmi — rzekł Bill — teraz mnie się więcej nie pozbędziesz, chyba, że każesz wyrzucić na wyspy Bermudzkie.

Żart ten rozweselił Francis, dawna jej życzliwość dla Billa zwyciężyła chwilową niechęć.

— Dobrze — odpowiedziała — będziemy znów przyjaciółmi, ale pod warunkiem, że mnie w Europie nie będziesz kontrolował.

Bill namyślał się chwilę, potem odpowiedział:

— Obiecuję, nie naprzykrzać ci się, czy ci to wystarcza?

— Tak — rzekła Francis, która znała rycerskość Billa i wiedziała, że na przyrzeczeniu jego można polegać.

Podali sobie jeszcze raz serdecznie ręce i Bill poszedł do swojej kajuty, aby wypocząć po trudach podróży, a Francis została na pokładzie głęboko zamyślona.

Wyglądała bardzo pięknie w swej gustownej toalecie i wpadła w oko kilku pasażerom okrętu. Nie odważyli się jednak zbliżyć do niej, widząc ją tak zasmuconą i zadumaną.

Było jej miło, że Bill za nią pospieszył, ale wierzyła na słowo, że ją opuści skoro tylko wyladują. Ufała też zręczności swej, że potrafi wymknąć się niewidziana.

Bo plany, które Francis knuła, były tego rodzaju, że musiała się ona z nimi kryć przed wzrokiem uczciwego człowieka. Szła ona śliską drogą zdrady. Oczernienie i kłamstwo miało jej pomóc w wykonaniu zemsty.

Chciała zniweczyć szczęście Leona i jego żony.

Z Hamburga miał się Leon wprost do Wiednia udać. Przypominała ona sobie wyraźnie adres listu Leona, który podarła na drobne kawałki; brzmiał on:

Pani Hortensja Waldau, Wiedeń, ulica Franciszkańska Nr. 9.

Ta Hortensja była istotą, z której pięknością Francis nie mogła się mierzyć, istotą, która posiadała całe serce Leona i za to Francis ją nienawidziła. Jedynym jej pragnieniem było zniszczyć szczęście, a jej sprawić cierpienie.

Gdyby jej się udało zdążyć do Wiednia przed Leonem, wtedy miałaby wszelkie szanse wykonania swego planu. Chciała zgłosić się do Hortensji i powiedzieć jej:

— Przychodzę do pani jako prawdziwa przyjaciółka, ostrzec panią przed powracającym jej mężem. Będzie on panią zapewniał o swej miłości, ale to wszystko będzie nieprawdą. Proszę mu nie wierzyć, on panią okłamie! Jego serce do mnie należy, ja byłam jego kochanką, a wraca on do pani tylko dlatego, aby się na mnie zemścić, bośmy się pokłócili! Nie miłość go do ciebie sprowadza, tylko chęć przygnębienia mnie. Nie ufaj więc pani temu zdrajcy! Nie wierz pani jego kłamstwom! Nie daj mu się pani do siebie zbliżyć!

Chciała użyć całej potęgi swej wymowy i okryć siebie samą udanym wstydem, aby tylko dopełnić zemsty i rozłączyć Hortensję i Leona na zawsze. Łudziła się nadzieją, że jej się to uda wobec niedoświadczenia młodej kobiety.

Oczy jej zaiskrzyły się nadzieją, ale po chwili zadumała się, gdy wpadły jej na myśl różne ewentualności.

Leon mógł ją bardzo łatwo u Hortensji uprzedzić i kto wie, czy już teraz nie są połączeni i szczęśliwi, że się odnaleźli!

Jaką rolę Francis w tym wypadku odegrać miała?

Była ona i na ten wypadek przygotowaną.

Chciała się między nich rzucić i w obecności Leona wypowiedzieć Hortensji wszystkie te kłamstwa przeciwko niemu. Liczyła na to, że jej Hortensja będzie wierzyła mimo zaprzeczeń Leona. Cieszyła ona się przez chwilę nadzieją rozłączenia małżeństwa i tryumfowała, widząc ich już w duchu rozdzielonych.

Ale wkrótce zasępiła się znów ponuro.

— A co potem będzie? — pomyślała.

Przyszłość wydawała jej się tak bezdennie pustą i okropną, że miała teraz tylko to jedno życzenie, aby umrzeć jak najprędzej.

Wesoły głos Billa przerwał znów jej dumanie, a na widok uczciwej jego twarzy rozpierzchły się jej czarne myśli, jak mgła pod wpływem słońca.



Nowocześnie urządzony berliński ogród zoologiczny urządził ostatnio specjalne miejsce dla węży grzechotników.

Pogodna teraźniejszość pozwoliła jej zapomnieć o smutnej przyszłości.

Bill przebrał się i wyglądał wcale okazale w eleganckim ubraniu, które na okręcie już odkupił od jednego z pasażerów, wytłumaczywszy jak pospiesznie się wybrał w podróż, nie mając czasu do niej się przygotować.

Gdy się odezwał dzwonek, wzywający pasażerów do wspólnego obiadu, podał Bill pannie Francis ramię z galanterią, której by się ona po nim nigdy nie była spodziewała.

Wzbudzili ogólną uwagę wszystkich obecnych, którzy czynili różne przypuszczenia co do przybycia Billa na okręt. Przyszli wreszcie do konkluzji, że Francis jest żoną Billa, która od niego uciekła, a którą on wczas jeszcze dogonił i przyłapał.

Dla dam stał się Bill przez to jeszcze bardziej zajmujący i każda z nich życzyła sobie mieć go za sąsiada przy stole.

Francis zdziwiła się bardzo, gdy Bill przyszedłszy do stołu usiadł nie przy niej, lecz przysiadł się do jednej z najprzystojniejszych panien z towarzystwa.

Obok niej siadł jeden z panów, który na nią już przedtem był zwrócił uwagę i obsypywał ją potokiem nudnych komplementów.

Ale Francis słuchała go z roztargnieniem i obserwowała wciąż Billa, który naprzeciw niej siedział. Dziwiła się w duchu, jak dobrze się umiał zachować i jak niczym nie raził, mimo, że widelcem i nożem nie obchodził się tak długo według wszystkich reguł dobrego tonu.

Towarzyszka Billa bawiła się widocznie bardzo dobrze, bo ciągle się śmiała, a po obiedzie szepnęła jednej ze swoich znajomych:

— Pan Freddes jest zachwycający i zakochałem się w nim po uszy.

Francis, która przypadkowo usłyszała to zwierzenie, zamyśliła się głęboko.



Oryginalnego zestawienia nowoczesnej techniki wojennej ze starożytną sztuką klasyczną dokonał fotograf podczas przeglądu włoskich sił zbrojnych na Via dei Trionfi na tle ruin Colosseum.

Gdyby się Bill w niej zakochał — myślała — znalazłby odszkodowanie za rozczarowanie, które ona mu sprawiła.

Myśl ta powinna ją właściwie była cieszyć, ale dziwnym sposobem sprawiła ona jej przykrość i irytowała ją.

Widziała Billa już w myśli u boku obcej dziewczyny, jako szczęśliwego małżonka i ojca, a siebie w zimnym grobie, którego żadna kochająca ręka nie ozdobiła.

Serce jej ścisnęło się gwałtownym bólem.

— Jakaś fatalność ciąży nade mną — myślała Francis — gdybym mogła była Billa pokochać, byłabym szczęśliwą, a tak skazaną jestem na boleść i rozpacz tylko!

Ale mimo to nie myślała zrezygnować ze swojej zemsty. Gdy pomyślała o Leonie, powstawała w niej dzika zawiść przeciwko niemu i popychała ją do ostateczności.

Tak upłynęło kilka dni.

Bill trzymał się od Francis dość zdaleka, a wesołość jego zjednała mu serca wszystkich pań na okręcie.

Francis zaś była opuszczona, gdyż ponure jej usposobienie wszystkich od niej odstraszało. Martwiła ją też obojętność Billa.

Z niecierpliwością oczekiwała chwili przybycia do Europy i wykonania swej zemsty, po której spodziewała się ulgi w swym cierpieniu.

— Czy plany zemsty jej miały się ziścić?

Przyszłość to okaże!

ROZDZIAŁ CCCVI.

Daremne zabiegi miłosne

Mimo skwaru słonecznego przebywał hrabia Rauch na pokładzie w nadziei, że zobaczy piękną Dorę.

Przejażdżka już się skończyła. Nazajutrz mieli przybić do New-Yorku i dlatego chodziło mu o to, aby dziś jeszcze znaleźć sposobność pomówienia z Dorą sam na sam.

Sama myśl, że mógłby się z Dorą rozstać na zawsze, bolała go niewymownie. Czuł on, że życie bez niej nie miałoby dla niego wartości.

Ale czy ona go nawzajem kochała? Czegożby się w tym razie tak ociągała?

Opanował go niepokój, gdy pomyślał o tym, że jedno słowo Dory miało rozstrzygnąć o jego całej przyszłości.

Elly i Emmy przybiegły na pokład, a Eryk przywitał je radośnie w myśli, że i piękna ich guwernantka wkrótce się zjawi. Ale mylił się, Dora nie przyszła.

— Dlaczego panna Hiller nie przychodzi na pokład? — spytał on wreszcie.

— Bo dziś głowa ją boli — odpowiedziała Emmy.

— Ja wiem dlaczego — wtrąciła się przemądra Elly — panna Dora płakała prawie przez całą noc. Myślała ona, że ja śpię, ale ja dobrze słyszałam i tylko całkiem spokojnie leżałam, aby się nie zdradzić.

Wiadomość ta zaniepokoiła Eryka, ale nie wypytywał się dalej, bo uważał to za niestosowne.

Myślał jednak ciągle nad powodem jej smutku i z roztargnieniem słuchał ich paplaniny.

— Wie pan, panie hrabio — paplała Elly — że my się w New-Yorku 5 tygodni zatrzymamy i będziemy robić sprawunki i do teatru chodzić i bawić się! W Rio nie będzie już tak ładnie, mimo, że mamy tam duży dom i wiele czarnej służby.

— Czy panna Hiller wraca z wami do Rio? — zapytał Rauch.

— Oczywiście, że wraca — odparła Elly — jest ona przecież naszą guwernantką!

— Biedna Dora! — pomyślał Rauch zasmucony. — Co za los młodej dziewczyny!

— My kochamy pannę Dorę — gadała Elly dalej — ona taka ładna i przyjemna. Jest też dużo cierpliwsza od poprzedniej naszej nauczycielki, która była wielką złośnicą. Było by jeszcze lepiej, gdyby nie żądała, abyśmy się ciągle uczyły!

Tu przerwała Elly przestraszona, gdyż zobaczyła zbliżającą się Dorę.

Była blada i przygnębiona, ale Erykowi wydawała się jeszcze piękniejszą niż zwykle. Odpowiedziała ona uprzejmie na pytanie Raucha co do jej zdrowia, lecz zwróciła się zaraz potem do dzieci, aby uniknąć badawczego jego wzroku.

— Przyniosłam skrzypce — rzekła — bo nie wiedziałam, że pan hrabia jest tutaj, i chciałam ,abyście ćwiczyły.

— Czy i pan hrabia gra na skrzypcach? — spytał Elly ciekawie.

— Nie, ale śpiewam trochę, mimo, że nie mam ani głosu ani słuchu — odparł hrabia śmiejąc się.

— Niech pan nam choć jedną piosenkę zaśpiewa! — prosiły dzieci.

Eryk wahał się z początku, ale gdy i Dora do prośby uczennic się przyłączyła, zdecydował się zadośćuczynić jej życzeniu i zaśpiewał smętną piosenkę, o smutku rozstania i o miłości.

Skończywszy, popatrzył czule na Dorę, ale ona spuściła oczy, a na twarzy jej odmalował się głęboki smutek.

— Co jej jest i dlaczego ona mnie tak niełaskawie przyjmuje! — pomyślał Eryk zaniepokojony. — Gdyby te nieznośne dzieciska odeszły i gdybym się z nią sam na sam mógł porozumieć.

Gdyby był wiedział, co się działo w duszy Dory Hiller, byłby się jeszcze bardziej starał o porozumienie się z nią. Zmartwienie Dory było bowiem głównie spowodowane jego osobą.

Pani Baren odkryła wreszcie, że hrabiemu Erykowi nie chodziło o jej przemądre córeczki, lecz o piękną ich guwernantkę, a cała złość jej skupiła się na biednej Dorze.

Z wyrafinowaniem właściwym kobietom, szepnęła jej przy sposobności, że hrabia ma w Berlinie złą reputację, jako Don Juan i kobieciarz i że jest od dwu lat już żonaty, mimo, że nie nosi pierścienia ślubnego, co bardzo źle o nim świadczy.

— Uważałam za obowiązek ostrzec panią — zakończyła pani Baren — spodziewałam się, że się pani teraz od niego odsunie i będzie też uważała, aby on się do dzieci zanadto nie zbliżał.

Dora skinęła w milczeniu głową, a pani Baren oddaliła się zadowolona ze swej intrygi i wrażenia, jakie kłamliwe plotki na Dorze zrobiły.

Nie miała najmniejszego wyrzutu sumienia, ani z powodu kłamstwa, ani też z powodu niezasłużonego zmartwienia, które biednej dziewczynie sprawiła.

— Nie odbiegłam daleko od prawdy — usprawiedliwiała się w duchu — reputacja jego nie jest rzeczywiście nadzwyczajna, a co do ożenku to w istocie słyszałam przed dwoma laty coś o jego ślubie czy jego brata z baronową Grömingen. W każdym razie, ta guwernantka nie będzie miała pretensji, by się z nią ożenił.

Tymi sofizmatami uspokoiła się, ale biedna osierocona dziewczyna, rozpływała się we łzach.

Teraz dopiero poznała, jak bardzo Eryka kochała.

Myśl, że on się z nią tylko chciał bawić, dotknęła ją do żywego.

Piękny jest i sympatyczny, myślała — ale jaki nikczemny, że z nią chciał nawiązać stosunek, mając żonę w domu! Zabawkę sobie z niej chciał urządzić, dla spędzenia czasu!

Płakała przez całą noc. Nad ranem miała uczucie, jakby na zawsze pogrzebała to, co jej było najdroższym w świecie: miłość dla hrabiego Raucha!

To też pieśń, zaśpiewana przez Eryka, jeszcze bardziej ją rozgoryczała. Pod pretekstem, że dzieci muszą odbyć lekcję, oddaliła się z nimi do ich kajut, a Eryk został znów sam, tym razem bardzo rozgniewany.

Dlaczego ona mnie tak unika — myślał w duchu — czy ona się nie domyśla o co mi chodzi, czy też się domyśla i dlatego właśnie unika porozumienia się!?

Chodził tak przez czas jakiś niespokojnie po pokładzie, aż wreszcie przyszła mu myśl.

Może ona się obraziła tymi półoświadczynami i czeka na otwarte i wyraźne wytłumaczenie z mej strony? — pomyślał — dlaczegoż mi w takim razie nie daje sposobności?

Czekał przez całe południe w nadziei, że Dora się przecież zjawi, ale gdy ją nareszcie zobaczył, była w towarzystwie całej rodziny Barenów i sposobność pomówienia z nią sam na sam, zdawała mu się być wykluczoną!

Tego wieczora wrócił hrabia w bardzo złym humorze do swojej kajuty.

Wreszcie postanowił napisać do Dory, i wyjąwszy swój papier listowy z koroną hrabiowską nad monogramem, napisał do niej list, który brzmiał następująco:

Wielce Szanowna Pani!

Nie mogąc znaleźć sposobności pomówienia z panią sam na sam, chwytam za pióro, aby pani tą drogą wypowiedzieć co czuję i otworzyć pani całe me serce. Znam panią dopiero od niedawna, a przecież pokochałem panią całą duszą i uważałbym to sobie za największe szczęście móc panią, najdroższa, uwielbiana Doro, nazwać swoją żoną. Moja miłość dla pani jest tak gorąca i namiętna, że trudno mi było ukryć ją całkowicie. Bajka, którą uczennicom pani odpowiadałem, moja pieśń i moje spojrzenia dawały pani przecież do poznania co ja czuję. Czy możliwe, aby mnie pani nie zrozumiała, czy może nie chciała mnie pani zrozumieć? Czy pani może miłość moja nie odpowiada? A może jestem pani nawet niesympatyczny? Myśl mnie bezustannie prześladuje i nęka. O, kochana, uwielbiana panno Doro, byłbym najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, gdybym wiedział, że mnie pani trochę kocha! Gdyby pani zechciała być moją żoną, nie zamieniłby się z królami i cesarzami! Na rękach bym panią nosił! Od odpowiedzi pani zależy szczęście lub nieszczęście mego życia.

Lecz jakakolwiek odpowiedź pani będzie, uwielbiana panno Doro, niech pani będzie przekonana o niezłomnej i bezgranicznej miłości i uwielbieniu do śmierci wiernego pani

Eryka, hrabiego Raucha".

Napisaniem tego listu sprawiło hrabiemu znaczną ulgę, bo zdawało mu się, że nim zbliżył się do celu.

Przeczytawszy go kilka razy, włożył do koperty, zaadresował.



Dwa piękne dziewczęta Kalifonijskie gotowe do skoku na nartach, niestety na sztucznym śniegu.

— „Dora Hillern!" — powtórzył on — jak słodko to brzmi! Ale jeszcze piękniej będzie brzmiało „Dora hrabina Rauch, z domu baronówna Hilern!

Sama myśl uszczęśliwiła go. Przez całą noc plątały mu się te piękne sny po głowie.

Nazajutrz wyszedł wcześniej na pokład, aby mieć sposobność wsunąć pannie Hillern, list, który wczoraj napisał, zobaczył ją najpierw w towarzystwie całej rodziny, a po obiedzie w kółku swych uczennic.

Obie dziewczątka przybiegły do niego z prośbą, aby im coś opowiedział.

— Dziś dojeżdżamy do New-Yorku — rzekł hrabia — i przyjaźń nasza się skończy. Zapomnicie o mnie, co?

— Nie — zawołały obie równocześnie — przecież pan hrabia będzie do nas w New-Yorku przychodził, prawda?

— Zobaczymy! — odparł Eryk — a do którego hotelu wy zajeżdżacie?

— Tego jeszcze nie wiemy! — była ich odpowiedź.

— Czy pani także nie wie? — spytał hrabia zwracając się do Dory.

Dora nazwała mu hotel i umilkła.

— Ach — rzekł Eryk — zdaje mi się, że to ten sam, który mi tu tak gorąco polecano. Czy nie chciałaby pani zobaczyć tej oferty?

To rzekłszy, podał jej list, który wczoraj napisał.

Dora wzięła go nie przeczuwając co jej Eryk podaje, lecz gdy zobaczyła na kopercie swój adres zadrżała, tak, że list z rąk jej wypadł.

Eryk schylił się, aby go podnieść, ale wiatr tymczasem popędził lekki list w fale morskie, gdzie został po chwili porwany wirem i znikł bez śladu.

— Nie ma go! — westchnął Eryk zasmucony.

— Przepraszam pana mocno — rzekła Dora nieśmiało.

Nim jednak Eryk mógł odpowiedzieć, nadeszła pani Baren.

— Pani tu, panno Doro? — zawołała zdziwiona. — Czy rzeczy pani i dzieci już spakowane? Wie pani przecież, że za godzinę najdalej dobijamy do portu!

— Nie spakowałam jeszcze wszystkich rzeczy — rzekła Dora skromnie — ale prędko to zrobię!

To rzekłszy odeszła. Eryk popatrzył za nią zasmucony. Ten pech z listem wydawał mu się jakimś złym prognostykiem. Nie miał ochoty nudzić się historiami pani Baren. To też oddalił się niebawem pod pretekstem, że się także jeszcze musi spakować.

Było to po części prawdą, tylko że hrabia nie zadawał sobie z tym wiele pracy, lecz powrzucał wszystko w największym nieporządku do kufra.

Potem usiadł zadowolony ze swego dzieła i oddał się swoim myślom.

Namiętność jego dla Dory wzrastała z przeszkodami, które mu jakby na złość w drogę wchodziły. Dotychczas wszystkie jego zabiegi spełzły na niczym, a on tymczasem tak tęsknił za chwilą, w której by mógł wyznać jej swoją miłość i usłyszeć z jej ust słodkie słowo: Kocham cię!

Pocieszył się jednak myślą, że w New-Yorku będzie miał więcej szczęścia.

ROZDZIAŁ CCCVII.

Śmiertelne łoże

Greta leżała na otomanie w brudnym, dawniej eleganckim negliżu i patrzała smutnym wzrokiem przez okno. Był to cudny dzień i wszystko wokoło ozłocone było promieniami słońca.

Tym smutniej wyglądała ex-baletnica. Oczy jej były silnie podkrążone, na policzkach miała podejrzane wypieki, a dawna, pełna jej postać, znikła bez śladu.

Kaszlała okropnie i pluła krwią. Nagle padła zemdlona na poręcze kanapy i leżała tak kilka minut nie mogąc się ruszyć.

Wreszcie zawołała słabym głosem Grammlową, nie dostawszy jednak odpowiedzi, westchnęła głęboko i zaczęła rzewnie płakać.

Po upływie pół godziny może weszła Grammlowa zarumieniona i z błyszczącymi oczyma. Z daleka już czuć od niej było wódkę.



Wojska gen. Franco na chwilę przed zdobyciem twierdzy Cassillo de Villa Franca.

— Mój Boże, jak ty wyglądasz Greto? zawołała przestraszona.

— Mogłam tu była umrzeć w czasie twojej nieobecności — narzekała chora — sto razy cię wołałam, a ciebie nie było. Taka to wdzięczność twoja za moją dobroć przez tyle lat? Każesz mi tu samej leżeć jak psu. Wstydź się!

— Ach, Gretko! — usprawiedliwiała się stara. — Niesłusznie się na mnie gniewasz. Ja wyszłam tylko po świeży lód dla ciebie i nie mogłam przeczuwać, że będziesz teraz miała napad. Tak się do domu spieszyłam!

Greta mruknęła coś o szynku na rogu ulicy, ale była zanadto osłabioną, aby wszcząć kłótnię, która by dawniej była z pewnością nastąpiła.

Grammlowa przebrała ją, gdyż Greta splamiła się krwią i włożyła jej w usta kawałek lodu, co jej pewną ulgę sprawiło.

— Czy jeszcze ci coś podać Gretko? — spytała, która widocznie jak najprędzej chciała odejść.

— Nie — krzyknęła chora gniewnie.

Stara oddaliła się zadowolona, a Greta zacisnęła za nią pięści.

— Niech tylko wyzdrowieję — mruknęła ze złością — to jej się za wszystko odpłacę.

— Ach, aby tylko wyzdrowieć! — pomyślała, uspokajając się. — Było to teraz najgorętszym jej życzeniem. Co jej po życiu, które by musiała spędzać leżąc na kanapie i męcząc się okropnie. Nie smakowało jej jedzenie ani picie. Zostawiała nietknięte najlepsze łakocie, które później Grammlowa zabierała. I piękne suknie nie sprawiały jej przyjemności. Dla kogo się teraz miała stroić, kiedy nie mogła wychodzić i kiedy do niej nikt nie przychodził!

Najpierw opuścili ją panowie, potem przyjaciółki.

Krescencja i Lena i reszta zgrai goniły za zabawą i flirtem i nie miały czasu, ani chęci, bawić się w siostry miłosierdzia, u łoża chorej koleżanki.

Tak więc Greta była zupełnie opuszczona, osamotniona i zdana tylko na łaskę Grammlowej, która też dlatego tylko u niej się trzymała, bo nie miała innego przytułku.

Co by to było za szczęście dla niej teraz, gdyby miała choć jedną szczerze oddaną istotę, która by się nią w tej strasznej słabości serdecznie zajęła!

Ale Greta była zupełnie sama. Nikt jej nie kochał, nikt się o nią nie troszczył. Nikomu na jej życiu nie zależało. Nie posiała miłości, dlatego jej też zbierać nie mogła.

Gorzka skrucha opanowała chorą, gdy pomyślała o swoim złamanym, chybionym życiu! Było to częściowo winą stosunków, częściowo jej własną winą!

Była nieprawym dzieckiem jakiejś baletnicy, której była tylko ciężarem. Ojca swego nie znała wcale. Nie tęskniła też wcale za nim, miało dość swej matki, która ją codziennie biła i łajała.

Tak wzrastała Greta i to była atmosfera jej dzieciństwa, przesiąkła niemoralnością.

Ledwo dorosła, wstąpiła do baletu i zaczęła występować w małych rolach.

W tym czasie uciekła jej matka z jakimś nowym kochankiem i zostawiła swoją dorosłą córkę na opatrzności boskiej.

Po kilku latach biedy, nadeszły wreszcie i dla Grety lepsze czasy. Uważano ją za najpiękniejszą baletnicę, otaczała ją gromada szczodrych wielbicieli, nie zbywało jej na niczym.

Tak żyła przez czas jakiś, otoczona przepychem i jakby oszołomiona swoim powodzeniem. Sumienie w niej się nie odzywało. Znała ona tylko jedno bożyszcze: zabawę. Potem zaczęła gonić za mamoną i wyzyskiwać swoich przyjaciół, aby sobie zabezpieczyć przyszłość.

— Czy jej się to udało?

Greta zaśmiała się gorzko. Nieuczciwie nabyty pieniądz rozleciał się jak sieczka na wietrze. Wszystkie zapasy jej już prawie były wyczerpane, a przed nią otwierała się perspektywa nędzy i niedostatku.

Gorące łzy spływały jej po policzkach, łzy żalu i skruchy!

— O, gdyby móc wyzdrowieć i zacząć nowe, poczciwe i pracowite życie! — pomyślała, a zamiary jej były tym razem rzeczywiście poważne.

Jak zupełnie inaczej mogło się jej życie było ułożyć, gdyby troskliwa ręka kochanej matki ją na uczciwą drogę była sprowadziła. Czuła żal do swej matki, ale nie chciała jej złorzeczyć, gdyż ona sama musiała być nieszczęśliwym, zaniedbanym i podupadłym stworzeniem. Greta zresztą mogła była i bez niej rozróżnić dobre od złego i pójść prostą, uczciwą drogą!

Gdy miała lat 16 i była jeszcze całkiem nierozwinięta, oświadczył jej się młody i porządny stolarz, który mieszkał w tym samym domu, co ona. Był przystojny i nawet dość zamożny, ale Greta odrzuciła propozycję jego z pogardą. Czuła wstręt do zwykłego małomieszczańskiego życia, które by u jego boku mogła prowadzić i tak odtrąciła prawdziwe szczęście goniąc za zbytkiem i lekkomyślną zabawą.

Jakże teraz żałowała swej głupoty! U boku tego uczciwego człowieka mogła była być porządną i poważaną kobietą, a czym była teraz? Podupadłą, pogardzaną dziewczyną, od której porządni ludzie się ze wstrętem odwracali!

Biedna Greto! Skrucha twoja przychodzi za późno. Samaś sobie zawiniła, folgując dzikim instynktom.

Długo jeszcze chora tak przemyśliwała. Słońce zaszło już było i chłodne powietrze wieczorne wywołało u Grety dreszcze. Zaczęła wołać i dzwonić na Grammlową, która przybiegła wreszcie zadyszana.

— Gdzie znów byłaś? — zapytała Greta gniewnie — mogłabym tu umrzeć, nimbyś sobie o mnie przypomniała.

— Sprzątałam tylko twoją sypialnię, Gretko! — wymawiała się stara jak zwykle — czy chcesz co jeść?

— Chciałabym ten kawałek bażanta, który został z obiadu! — rzekła chora.

— Nie ma już ani kosteczki — zapewniała Grammlowa, która wszystko sama zjadła. — Czy ci mam zgotować jajko, albo coś innego?

— Nie, nic więcej nie chcę — krzyknęła Greta gniewnie.

Grammlowa była zadowolona, że nie miała żadnych kłopotów z gotowaniem i zaprowadziła Gretę do sypialni.

Wyglądało tam okropnie, mimo zapewnień starej, że posprzątała. Mnóstwo rzeczy leżało wokoło w największym nieładzie i tylko łóżko chorej było zaścielone.

Greta oglądnęła się gniewnie po pokoju.

— Dlaczegoś swojego łóżka tu nie przystawiła? — zapytała Greta płaczliwie — ja budzę się teraz tak często w nocy spragniona i muszę mieć swoje lekarstwo.

— Ależ Gretko, ja bym ci tylko przeszkadzała swoim chrapaniem — wymawiała się stara. Zadzwoń lepiej na mnie, ilekroć mnie potrzebujesz, a ja natychmiast przyjdę.

— Znam ja to — rzekła Greta — ja dzwonię i wołam, a ty nie słyszysz. Nie, nie, musisz postawić swoje łóżko tu przy mnie! Ja się boję sama w nocy!

Ton Grety był błagalny, ale nie wzruszył Grammlowej wcale.

Pomogła chorej przy rozbieraniu i postawiwszy na stoliku obok niej lekarstwo i szklankę wody, chciała odejść.

Ciąg dalszy na stronie 393.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PROSZĘ O ZIELONE...

Więc stanął zakład pomiędzy nami —
Choć oddzielnie z nas każdy
odszedł w swoją stronę — —
lecz gdy przypadkiem znowu się spotkamy,
to pierwsze słowo: „proszę o zielone"!

Tak było przecież kiedyś przed latami — —
gdy będąc dzieckiem i chodząc do szkoły,
rwaliśmy listki splecione szmaragdem,
a serca nasze szczebiotem wesołym
dzwoniły rytmem młodzieńczym, beztroskim..

Dziś już wspomnienia —
jakby mgłą zamglone.
Lecz pozostała w sercach naszych pamięć
w tym słowie dawnym: „proszę o zielone"

Dni przeminęły, niemal lata całe.
I nagle przyszłaś z niewiadomej strony —
Spojrzałaś na mnie i dłoń mą ujęłaś,
a usta szepcą: „proszę o zielone"...

Przegrałem zakład, lecz nie z mojej winy;
zieleń nadziei powiędła, jak kwiaty...
Odesłaś z żalem... jam podniósł twój listek..
Przegrałem w zamian twej miłości straty...

Józef Baranowski.

RAZ JESZCZE OPRACOWAĆ

„Henry". Dziękuję Panu serdecznie za słowa pozdrowień i przesyłam wzajemne. A teraz jedno powiem Panu, mianowicie to, iż nowelę Pana tym razem przeglądnęłam ja, bo Wujek Janusz jest przeciążony pracą. Postaram się krótko załatwić z poszczególnymi nowelkami. I tak: „Szaleńcy" i „Zaczęło się w Algierze" nie do druku. Pierwsza dlatego, że sam temat jest dość ryzykowny, a z drugiej strony myśl przewodnia jest słabo rozwinięta i uzasadniona. Po przeczytaniu czytelnik nie nabiera przekonania do bezwzględnej, idealnej słuszności postępku pary zakochanych.

„Zaczęło się w Algierze" posiada fabułę dość interesującą, lecz również istnieją dość poważne niedociągnięcia w konstrukcji. Temat ten nadaje się do rozwinięcia, jednak bez przedłużania samego utworu. Warto opracować tę nowelę raz jeszcze. Do tego rodzaju tematu podchodzi się w ten sposób, że autor układa dla siebie schemat całej akcji w porządku chronologicznym i ponadto jeszcze musi istnieć między poszczególnymi zagadnieniami bezwzgl. logiczne powiązanie. Dopiero po ukończeniu tego schematu wybiera się szereg fragmentów, których powiązanie logiczne musi wynikać po przeczytaniu całości, co wcale nie przeszkadza, że w trakcie akcji poszczególne fragmenty mogą kończyć się zagadką na razie dla czytelnika nierozwiązalną.

Tak mniej więcej wygląda recepta na nowelę względnie powieść sensacyjną. Oczywiście odrobina talentu jest w tym wypadku konieczna. Autor ten talent posiada, tylko musi koniecznie pracować nad sobą.

Nowelę p. t. „Żelaznym szlakiem", po nieznacznych poprawkach, zamieszczę.

Ponieważ otrzymałam na czas pocztówkę Twoją, przeto w poniższych komunikatach nie będzie tego, o którym była mowa.

Życzę Ci natchnienia w pracy i czekam na nowy transport nowel!

„Farido"! 100-proc. pewności, to jeszcze nie wszystko! Moje imię i nazwisko znajdziesz przy nowelce — „Na podniebnym szlaku". Zdaje się, że się mylisz.

„Zuch - dziewczyna". Przeczytaj sobie komunikat dla „Faridy", a ja dodam jeszcze, że zawsze mieszkam w Poznaniu. — Widzę, jak mało studiujesz „Krainę"!

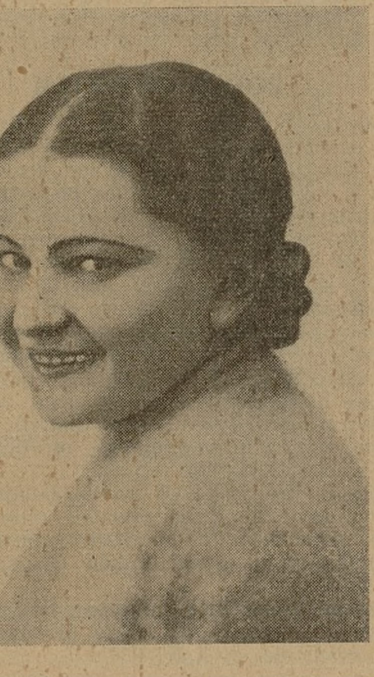
„Czarny Hajduczku"! Tobie moc pozdrowień!

ZGADZA SIĘ!

„P. J. P. — Widawa". Z przyjemnością odnowiłam znajomość z Panem, zwłaszcza, że przysłałeś wierszyki, jak słusznie określiłeś, nie tyle dobre, ile symbolizujące treść Twoich wewnętrznych przeżyć. Zgadza się, że wierszyki te należało by raczej odczuć niż zrozumieć, lecz i to należy wziąć pod uwagę, że ogół czytelników woli rzecz zrozumieć i pojąć jasno, niż silić się na odczuwanie bez zrozumienia, bo zawsze w tym wypadku można przyjąć ewentualność pomylenia się, a to nie jest przyjemne.

Owszem, nowelki możesz Pan przysłać, chętnie przeczytam i gdy okażą się odpowiednie do druku — dam w „M. Powieściach". Zupełnie nie musi to być treść tendencyjna, byle tylko całość była dobra i gładka.

Naturalnie, że może Pan pisać często, nawet dodam, iż chętnie porozmawiam znowu z Panem.



Jakże ujmującym uśmiechem odznacza się „Kalina" znana nam już Sympatyczka „Krainy".

WEŹMIESZ UDZIAŁ W ZJEŹDZIE?

„Rudi". No, no! nie bardzo chce mi się w to wierzyć, Miły Chłopcze, że nie otrzymałeś odpowiedzi na ostatni Twój list. Nie mam zwyczaju pomijać milczeniem żadnych listów, a cóż dopiero mówić o listach starszych „Krainiaków"! W każdym razie wzięłam to sobie do serca i odpisuję Ci jak najszybciej.

Cieszy mnie, że podobała Ci się ostatnia powieść Czekalskiego, a zauważyłeś, że ostatnie powieści są wszystkie dobre? Co zaś do „Tajemnicy zamku Felseg", to dowiedz się, że ona się już wkrótce skończy i przestanie Cię gnębić. Myślę, że w tej chwili uśmiechasz się z zadowoleniem.

Ależ naturalnie, że wstąpisz do naszej redakcji, gdy będziesz w Żninie. A może weźmiesz udział w zjeździe „Krainiaków" do Żnina?

List wysłałam.

Zasyłam Ci serdeczności i przedrukowuję komunikaty:

„Bajka". List napisałem, ale wrócił z dopiskiem: adresatka nieznana. Czy mam go przysłać? Jeżeli tak, to proszę o adres. Serdecznie pozdrawiam.

„Samotny Sfinks". List odebrałem — bardzo dziękuję! Proszę o adres, to napiszę o sobie to wszystko, co Pani mogłaby zechcieć wiedzieć. Czekam!

A oto mój adres: Poznań 1, poste - restante, dla „Rudiego".

NIE TY!...

„Dziewczę z ludu II." Pięknie, że jesteś zadowolona z racji swej przynależności do „Krainy", bo tak zresztą być powinno.

Napisz mi, czy Mateczka Twoja jest już zupełnie zdrowa.

Masz nadzieję, że mimo wszystko wiosna tegoroczna nas nie zawiedzie? Nie wiem tego, lecz i ja chciałabym, aby tak było.

Dziękuję Ci za nadesłany adres — ale takie mam przekonanie, że to nie Ty byłaś owym „Dziewczęciem z ludu", o które mi chodziło, dlatego też w odpowiedzi dzisiejszej oznaczyłam Cię cyfrą „II". List natomiast otrzymała właścicielka tego samego pseudonimu, którą w przyszłości będę oznaczała cyfrą „I". Równocześnie proszę i Ciebie i ją, abyście zechciały przy podpisywaniu swych pseudonimów pamiętać o tych cyfrach.

Pozdrawiam Cię!

„Hallo! Bardzo serdeczne pozdrowienia dla „Bajki", „Czarodziejki", „Miłej Cyganki", „Młodego Orła", „Te-Ema", „Sokoła" oraz wszystkich kochanych „Krainiaków"!!!

JEST ISKRA TALENTU

„Wirryt". Dawno już nie miałam znaku od Pana — jak Ci się powodzi i czy jesteś zadowolony i zdrów?

Nowela Pana „Na balu" zbyt banalną ma treść, abym mogła ją dać do druku, jednak styl Twój i podejście do tematu zdradza iskierkę talentu. Proszę o przysłanie innych.

Na razie pozdrawiam Cię serdecznie i czekam na długi list!

ŹLE SIĘ NAM SKŁADA

„Samotna Włościanka". Napisz mi, Kochana Dziewczynko, czy brakuje Ci jeszcze ten numer „Moich Powieści", a także, czy otrzymałaś już książkę kucharską, o którą zapytywałaś mnie jeszcze w lutym.

A teraz chciałam Cię poprosić, abyś nie wzięła ani mnie, ani wreszcie poznanym przez Ciebie redaktorom za złe, że mimo danej Ci obietnicy nie pojedziemy do Ciebie na dzień Twych imienin — tak się nam składa, iż nie będziemy jednak mogli uskutecznić tego zamiaru. Bardzo Panią proszę nie gniewać się o to!

Życzę Ci dużo radości w dniu Twego święta i bądź pewna, że myśl nasza życzliwa będzie przy Tobie!

Całuję Cię serdecznie i mam nadzieję, że opiszesz mi, jak spędziłaś ten jedyny w roku swój, najswojszy dzień!

„Czarodziejce", „Czarnookiej Wandzie", „Blance", Zofii z Gr., „Samotnej Duszy" — ślę serdeczne pozdrowienia i całuję dużo, dużo razy!

„Złote Słoneczko". Pamiętasz mój pobyt w Bydgoszczy i ostatni wieczór w teatrze? Kiedy przyjedziesz do mnie?

„Wesoła Tusia spod Grudziądza". Ja również dużo poluję i mam w tym przyjemność. Może byśmy nawiązały kontakt listowny? Będziemy miały miłe tematy z łowów.

„Alfonsie". Czy pamiętasz nasz pobyt w Bydgoszczy? Jakie wywiozłeś wrażenia z naszego poznania? Pozdrawiam Cię serdecznie i łączę pozdrowienia od tych, którzy byli obecni na zaręczynach mego brata.

Ponadto pozdrowienia dla wszystkich Sympatyczek i Sympatyków!"

WAŻNE DLA WSZYSTKICH!

„Wandzia z B." Załatwiam dziś Twój list z lutego i wszystkie późniejsze pocztówki. Zatem jak sobie życzyłaś, nie daję żadnych komunikatów, a tylko pozdrawiam całą „Krainę" w Twoim imieniu.

Sprostowanie Twoje wręczyłam Wujkowi Januszowi i proszę Cię nie przejmuj się sprawą tego plagiatu — my, wiemy, że to nie Ty jesteś winną, a w ogóle to w oznaczeniu numeru „Moich Powieści" zaszła pomyłka. To nie w nr. 14 ukazał się ten plagiat. W najbliższym czasie Wujek Janusz da dokładne wyjaśnienie i zapewne wymieni pseudonim plagiatorki, ponieważ „Krainiacy" dopominają się o surową karę przez wyłączenie jej z członków „Rodzinki".

Mnie osobiście przykre są nie tylko ewentualne represje na osobie lekkomyślnej „Krainianki", ale cała ta sprawa, niemniej zastosuję się do życzenia Waszego, dodam tylko, że błądzenie jest rzeczą ludzką, i nie należałoby uchylać dziewczynce sposobności do poprawy. Co Wy o tym sądzicie? Wypowiedzcie się proszę!

Wierszyki Twoje z listu lutowego oddałam Wujkowi do Teczki — on wyda ocenę.

Więc to byłoby wszystko. Teraz ja z kolei będę czekała na słowo od Ciebie, które oby

zbyt długo nie zwlekało z przyjściem, a właściwie przejechaniem się do mnie!...

Aha! Jeszcze proszę Ciebie, jak również wszystkich „Krainiaków", abyście zawsze podpisywali się swoim pełnym pseudonimem w celu uniknięcia nieporozumień i gmatwaniny w adresach!

DO ADMINISTRACJI

„Taki - jeden". Czy nieporozumienie już się wreszcie wyjaśniło? Owszem, miałam rzeczywiście możność stwierdzenia, jak bardzo mylił się Pan, Mój Przyjacielu! Czy to tak trudno znaleźć red. odpow. w danym piśmie?

Więc podobał się Panu kalendarz I. K. P. — cieszy mnie to!

Przypuszczam, że i ja muszę czytać powieści, które daję do naszego tygodnika — a Pan jak mógł w to wątpić?

Sprawy abonamentu załatwia nasza administarcja i do mnie one wcale nie dochodzą, dlatego też lepiej będzie, gdy Pan da zawsze dokładne objaśnienie na blankiecie wpłaty. Jeżeli zechce Pan otrzymać wyjaśnienia związane z prenumeratą, to proszę zwrócić się do administracji: Administracja Wydawnictwa A. Ksycki — Żnin, a otrzyma Pan bezpośrednie i najdokładniejsze informacje.

Zdaje się, że odpowiedziałam na wszystkie Twoje pytania, teraz pozostaje mi tylko oznajmić Ci, jak zwykle serdecznie, że z przyjemnością czytam zawsze Twoje listy i niecierpliwie czekam na nowe!

Posyłam Panu mocny uścisk dłoni i siostrzany uśmiech!

„Zbijobruk poznański". Daruj moje zdziwienie, ale to może jest rocznica?... Jakby nie było — posyłam moc serdeczności!

Kaji i p. Marylusi za wyrazy serdeczności, przesyłam moje najlepsze pozdrowienia! I tych wszystkich ściskam, co piszą te kochane wiersze!

NADEŚLIJ!

„Kochane Oczęta". Dziewczynko, na prośbę Twoją postarałam się dać Ci jak najszybciej odpowiedź. Niestety nie będzie ona po Twej myśli, lecz nic na to w tym wypadku nie poradzę. Nowele i ocenę ich już — sądzę — otrzymałaś. Jeżeli masz jeszcze inne — nadeślij, chętnie je przeglądnę i ocenię.

Nie przejmuj się nigdy tym, że zabierasz mi swymi listami zbyt dużo czasu — dużo czasu przeznaczam w ogóle na opracowywanie listów, a listy takie, jak Twoje, czytam ze szczególną przyjemnością.

Gdybyś przypadkiem zmieniła adres, podaj mi nowy i pisz w dalszym ciągu do życzliwej Ci przyjaciółki!

Życzę Ci dużo cierpliwości i wytrwałości w tygodniach najbliższych i całuję Cię serdecznie!

DZIĘKUJĘ!

„Myśliwy". Dziękuję Panu za miłe pozdrowienia i odwzajemniam je szczerze.

Listy Pana otrzymałam i tak sobie myślę, że teraz już jesteś zadowolony i nie narzekasz na opuszczenie!

Nic straconego — na pewno się Pan raz wybierze z siostrą na zwiedzenie Żnina i powetuje stratę uprzednią.

Życzę Panu pomyślności!

PRZYJMUJĘ!

„Kwitnąca Różyczka". Jaki miły pseudonim obrałaś sobie, „Różyczko"! A w ogóle to cały Twój list jest ogromnie miły i niezwykle ujmujący — może właśnie z powodu pewnej, a tak zresztą wdzięcznej, nieśmiałości, która przebija w każdym zdaniu i która kazała Ci się tak długo wahać, zanim odważyłaś się napisać ten list z prośbą o przyjęcie Cię do grona „Rodzinki".

Ależ przyjmuję Cię z prawdziwą przyjemnością i zdradzam „Krainiakom", że jesteś dwudziestoletnią jasną blondynką, o figlarnych niebieskich oczach i roześmianych usteczkach. Na pewno jesteś też zgrabną, ci co Ci to mówią chyba się nie mylą. Lubisz czytać, sportować i... bawić się! Rozumiem — jesteś przecież młoda i szczęśliwa.

A mimo to wszystko jeszcze tęsknisz za uśmiechem tej lub innej osoby z „Krainy", przesłanym Ci w liście. I to rozumiem, bo wiem, że człowiek szczęśliwy, niechby najbardziej, jeszcze zawsze i coraz mocniej staje się zachłannym na to wszystko, co to szczęście dopełnia i umacnia. I czyni słusznie!

Życzę Ci nieprzebraną moc uśmiechów — cząsteczek szczęścia i przechodzę do Twoich pierwszych dla „Krainy" komunikatów.

„Malutka z Pomorza". Dlaczego tak długo nie piszesz do mnie?

Całej „Rodzince" ślę przyjacielski uścisk dłoni, i moc pozdrowień!

Osobne pozdrowienia zasyłam „Różyczkom". — Napiszcie do Waszej siostrzyczki!

Serdeczności „Hawajskiej Gitarze", „Eu-ka", „Zbijobrukowi Poznańskiemu" (może napisze do mnie?) „Wesołemu Łobuzowi spod Działdowa". A może „Mary z Gdyni", skreśli kilka słów. „Złote Słoneczko". Zasyłam milutkie pozdrowienia — może otrzymam liścik, co? Odpowiedź murowana. „Kresowiaku z Leszna" — zasyłam miły uśmiech. Podoba mi się Pana wiersz „Bezsenne noce" i proszę tak cichutko o poświęcenie i mnie malutkiego wierszyka, a może będzie i liścik?!...

A może która Sympatyczka z Leszna napisze, gdyż mam miłe wspomnienia z tego miasta.

POD WARUNKIEM

„Kartusz". Przyjmę Pana do „Krainy", ale pod warunkiem, że nadeślesz mi swój adres. Nie mogę wciąż i stale i bez końca błagać Was o to, co każdy sam bez proszenia i przypominania winien czynić. Przecież każdemu jako tako okrzesanemu człowiekowi wiadomem jest, że jak pragnie kogoś poznać i zaprzyjaźnić się, musi przede wszystkim mu się przedstawić — a tymczasem Wy, zabiegając o znajomość z „Krainiakami", a moją przychylność, ba, nawet przyjaźń, nie uważacie za potrzebne zdradzić mi swego nazwiska. A ja jestem innego zdania, nie dlatego zresztą, że gnębi mnie ciekawość, lecz dlatego, że mam potem kłopot z zalegającymi mi bezpożytecznie w teczce listami.

Proszę, aby wszyscy nowowstępujący wzięli to pod uwagę i nie zmuszali mnie do ciągłych napominań lub wreszcie odmowy przyjęcia ich w poczet członków naszej „Rodziny"!

Pozdrawiam Pana i czekam na nadesłanie adresu, po którym to fakcie przyjmę dopiero Cię oficjalnie do „Krainy".

ZAUWAŻYŁAM!

„Basia". Cieszę się, Dziecino Droga, że już Ci teraz będzie lżej pracować i że się nie przemęczysz zanadto!

Zauważyłam też jedną ważną rzecz u Ciebie, mianowicie, że uprawiasz sporty rzeczywiście, a nie tak tylko słowami. W jaki sposób? Ot, piszesz mi, że spieszysz się na gimnastykę i dlatego mam wybaczyć, że pismo brzydkie itd. Czy nie jest tak „Basieńko"? No, żyj mi wesoło i pisz często!

„Przedwiośnie". O ile mię pamięć nie myli, to jesteś z Torunia — prawda? Chciałabym Panią poznać, gdyż często bywałam w Toruniu, więc napisz, Dzieweczko do mnie i podaj swój adres.

„Rozbójniku Poznański". Czyż mieszkasz w Poznaniu, czy w jego okolicy? Poznań znam, jak własną kieszeń, a może i Ciebie, lecz nie wiem, kto jesteś. Ślę ci wagon pozdrowień z Grudziądza. Pisz do mnie!

„Lan — Cheng". Zasyłam Ci serdeczny uścisk dłoni. Rozumiem Cię dobrze. A czas i otoczenie zrobi swoje. Nie smuć się, kochanie!

Serdeczne pozdrowienia śle jasnowłosa Basia dla tych wszystkich czytelników, którym się podobają jasnowłose dzieweczki.

O ile któryś z „Krainiaków" zechce do mnie napisać, to bardzo proszę, odpowiedź murowana!"

Teczka Wujka Janusza

NIE CHCIAŁBYM...

„Szara Fala". Zaniepokoił mnie mocno list Pani, bo nie chciałbym, aby taką młodą i wrażliwą istotkę, jak Pani, miał okrutnie pokrzywdzić los. Wierzę, że wszystko będzie dobrze, że dzielnie przetrwa Pani okres choroby swej ukochanej matusi i z czasem odzyska znowu radość życia. W tej nadziei ślę Pani bardzo miłe pozdrowienia i słowa otuchy oraz komunikuję, że do druku pójdzie wierszyk — „Mów wiosenko!..."

MÓW, WIOSENKO!...

O, wiosenko, na mą duszę
cichą radość zlej,
wyrwij wreszcie smutek głuchy
z biednej duszy mej.
Bo ku tobie wszystkie czucia,
duszy mej się rwą,
każdy zew i serca bicia,
tchnieniem cichym mkną.
A gdy teraz tak radosna,
stoisz strojna w bzy,
mów, gdzie mego szczęścia wiosna,
gdzie stracone sny?
Mów, dla kogo słowik śpiewa
tak radośnie znów,
o czym szepcą stawy, drzewa —
o, wiosenko, mów mi, mów...

W. Kreftówna.

PROSZĘ PRACOWAĆ NAD SOBĄ...

P. J. P. Widawa. Wiersze Pana są poprostu barwne od wiosennych cudów przyrody i przebogate od różnorodności uczuć i do-nawanych wrażeń, cóż jednak, gdy miejscami napotyka się na dość poważne usterki. Usilnie zatem Panu radzę unikać podobnych niedociągnięć i dużo pracować nad sobą, bo naprawdę warto. Talent, w rodzaju Pańskiego, nie powinien ginąć, ale jaśnieć w całej pełni. Do dzieła więc, Drogi Panie, do wytrwałej pracy nad sobą!

CODZIEŃ PRZYSYŁASZ MI KWIATY...

Codzień przysyłasz mi kwiaty...
Codzień, każdego poranku...
Fiołków wiązanki nieśmiałe...
Irysy liliowe i białe...
I róż przepysznych szkarłaty...
Codzień przysyłasz mi kwiaty...
Codzień, każdego poranku...

Czasami znów na przystanku,
Spotkasz mnie niby przypadkiem...
I spada złocista róża...
A zapach jej tak odurza,
I szepcze mi takie słowa,
Jakich wiązanka liliowa
Nie śmie powiedzieć swym kwiatkiem...
Czasami ty na przystanku
Spotkasz mnie niby przypadkiem...

O mój jedyny, o drogi!
Tyś w bajkę zmienił mi życie,
Tak kwiaty ścieląc pod nogi...
Po kwiatach stąpam olśniona...
Po różach stąpam w zachwycie...
Wyciągam tęskne ramiona...
Czarownym idę gdzieś światem
I pragnę tobie być kwiatem.

Irena Pieczkowska.

WIERZĘ...

„Wandzia z B." Martwi się Pani niepotrzebnie, gdyż to nie Pani wiersz był plagiatem. Przesyłając Pani to zapewnienie, wierzę, że będzie Pani nadal pamiętała o mojej „Teczce" i wykorzystywała również nadal chwile swoich natchnień.

NATCHNIENIE

Na ustach słowa kochania,
że kocha
w życiu raz pierwszy.
Na ustach uwięzły zdania
na kształt natchnionych wierszy.
Jedno oczu spojrzenie
i jeden
uśmiech z uśmiechów...
Z miłością przyszło natchnienie
i zamieszkało pod strzechą.
Idziemy razem po łące,
idziemy —
ja i natchnienie.
Za nami słońce wschodzące
i czyjeś błękitne spojrzenie.
Może nas ujrzy z daleka,
ujrzy
i prześle znak dłonią.
Może nam każe zaczekać
i wnet jej słowa zadzwonią.
Na ustach słowa kochania,
że kocha
w życiu raz pierwszy.
Na ustach uwięzły zdania
na kształt natchnionych wierszy.

Tadeusz Rawicki.

Raj kobiet



Wśród wiosennych męskich garniturów przeważają jednorzędowe, zapinane na trzy guziki i dwurzędowe. Oto szereg eleganckich modeli.

Coś o modzie męskiej

Miesięcznik „Współczesny Pan" przynosi szereg nowych wiadomości z dziedziny mody męskiej, z których kilka przedrukowujemy poniżej:

„Wiosna 1938 nie wniosła wiele nowości do mody męskiej, a jednak o stabilizacji w tej dziedzinie mowy być nie może. Taki to już los królowej mody, że zawsze znajdzie coś nowego, choćby kryzys nie pozwalał jej królować, jak należy.

Każdy szanujący się mężczyzna musi dbać o swój zewnętrzny wygląd i wiedzieć o tym, że nawet gdy ubranie jest jeszcze zupełnie dobre, bo materiały męskie mają tę własność, że się tak szybko nie niszczą, jak damskie — to jednak popularna marynarka sprzed kilku lat wielce różni się od dzisiejszej, nieco dłuższej, mniej wciętej, wciąż jeszcze szerokiej u góry i zwężającej się ku dołowi. Ramiona sztucznie rozwinięte są jednak bez przesady wysokie i niekanciaste, wyłogi dłuższe i szersze. Modne marynarki zapinane są przeważnie na dwa guziki, ciemne ze szpiczastymi klapami — jasne zaś z klapami w dół. Rękawy jednak nie są szerokie, żeby zaś nie krępowały ruchów, krojone są szersze plecy, które powinny się między łopatkami nieco fałdować wzdłuż.

Strój taki wygląda nieco poważniej, a przy tym estetyczniej. W ogóle nie należy dbać o to, by koszula z krawatem była więcej uwidoczniona.

Co się tyczy kamizelki, którą się w lecie coraz mniej nosi, powinna moim zdaniem, przyzapięciu marynarki nieco wyglądać, nawet przy marynarce dwurzędowej, która wskutek mniej uwidacznia koszulę i krawat. Na ogół dwurzędowe garnitury nabierają coraz więcej popularności i nawet dwurzędowe smokingi uzyskują prawo bytu, chociaż są niepraktyczne przy siadaniu, gdyż trzeba odpinać guziki, aby się poły nie pogniotły.

Należy też nadmienić, że garnitury kombinowane do innych marynarek, spodnie gładkie w kolorach beż, szarym, zielonym, mają za granicą duże zastosowanie w lecie przy ładnej pogodzie. Kombinację taką cechuje lekkość i naprawdę ładnie wygląda.

Co się tyczy kolorów i deseni, nie można powiedzieć dokładnie, jaki kolor będzie się cieszył specjalnym powodzeniem. W każdym razie jako nowość fabrykanci wprowadzili oprócz pasków również i kraty. Dominują kolory: szary, szaro-zielony i beżowy.

Ciemne garnitury, które w lecie zastępują garnitury wizytowe, są przeważnie w odcieniach granatowych i ciemno brązowych w paski, o dość szerokich odstępach. Materiały te również doskonale nadają się na garnitury dwurzędowe.

Co się tyczy palt wiosennych, przeważnie lansowane są półwcięte bez kloszu, nieco krótsze, jak w zeszłym roku, również z dłuższymi wyłogami, z szalikiem, które mają obecnie duże zastosowanie.

Wśród letnich palt jeszcze stale przodują raglany gabardynowe za wyjątkiem wieczorowych, które mają być czarne lub marengo z lekkiego, luźno tkanego materiału."

—o—

„Jeżeli chodzi o garnitury letnie, należy zauważyć, że wracamy do mody południowej. Przeważają białe garnitury, nie płócienne, lecz z kamgarnu o fasonach: 1) jednorzędowy fason smokingowy na jeden guzik. 2) Dwurzędówka o trzech nakładanych guzikach. Do białych marynarek nosi się granatowe (indygo) spodnie".

—o—

HIGIENA I ZDROWIE

Cytryna w medycynie, gospodarstwie domowym i zabobonach ludowych

Tyle się ciągle mówi i pisze o pomarańczach. Wychwala się ich wartości odżywcze, tanią cenę i t. p., a o biednym kopciuszku — cytrynie jak gdyby zapomniano.

Tymczasem pod względem użyteczności w gospodarstwie domowym, cytryna jest wprost niezastąpiona.

Dlatego pozwalam sobie poświęcić temu skromnemu i w szary kąt przez pomarańczę zepchniętemu owocowi niniejszy artykulik i mam nadzieję, że liczne rzesze czytelniczek przeczytają go z zainteresowaniem i kto wie, może od tej pory zwrócą większą uwagę na cytryny, które uważano dotychczas w większości gospodarstw za niepotrzebny luksus.

Przede wszystkim polecam pięknym paniom dbającym o cerę, żeby co rano zaraz po przebudzeniu się wypijały lemoniadę zrobioną z soku z pół cytryny rozpuszczonego w szklance przegotowanej wody.

Przy miękkich i krwawiących dziąsłach, dobrze jest używać do masowania dziąseł soku z cytryny, ze szczyptą soli. Tak przygotowany płyn wciera się szmatką w dziąsła. Zabieg ten nie tylko powstrzymuje krwawienie, ale zapobiega na przyszłość wszelkim schorzeniom dziąseł, gdyż robi je odpornymi.

Również częstym zmartwieniem płci nadobnej jest kruchość paznokci. Otóż od wieków znanym sposobem pozbycia się kruchości paznokci jest nacieranie ich skórką cytrynową. Już po kilkudniowym stosowaniu tego zabiegu widać dodatnie skutki, a po dwóch lub trzech tygodniach kruchość zupełnie ustępuje.

W medycynie ludowej stosuje się cytrynę jako łagodny środek do wywołania potów.

A także różnorodne zastosowanie może mieć cytryna jako przyprawa kuchenna, np.:

Sałata nabiera doskonałego i oryginalnego smaku, gdy ją polejemy sosem zrobionym z soku cytryny i miodu. Na jedną część soku bierze się dwie części miodu. Smak sałaty staje się wtedy o wiele lepszy, niż gdybyśmy ją polali samym sokiem z cytryny, względnie octem.

O ile chcemy otrzymać ładnie ugotowany ryż na sypko, a chcemy, żeby przy tym pozostał nadal biały, należy w czasie gotowania dodać do wody kilka kropel soku z cytryny.

Kto chce mieć szparagi o delikatnym i subtelnym smaku, temu radzę przed podaniem do stołu polać je roztopionym masłem zmieszanym pół na pół z sokiem cytrynowym.

Często wielkim zmartwieniem pięknych pań są sczerniałe od zajęć kuchennych paluszki. Najbardziej nowoczesnym i najpewniejszym sposobem zapobiegającym sczernieniu palców przy wszelkich czynnościach takich jak: obieranie jarzyn, grzybów itp. jest noszenie gumowych rękawiczek. Rękawiczki takie są jednak stosunkowo drogie. W każdym jednak nawet skromnym gospodarstwie używa się cytryny. Gdy więc nie mamy za co kupić sobie gumowych rękawiczek, a mimo to musimy sami zająć się sprawami kuchennymi, wtedy nieocenione usługi odda nam cytryna. Sczerniałe bowiem palce bieleją prawie zupełnie po potarciu cytryną.

W średniowiecznych zabobonach ludowych, w niektórych okolicach Francji używano soku z cytryny do odczyniania uroków. Twierdzono wtedy, że kieliszek soku z cytryny wypity przed udaniem się na spoczynek ma uchronić od niespokojnych snów.

W roku 1747 wydana została w Paryżu książka pod tytułem: Złoty Owoc Cytryny, jako lekarstwo. Autorem tej ciekawej rozprawy był Antoni Halpern, „biegły w sprawach medycznych, nadworny lekarz" tak brzmi jego tytuł na książce. Niestety broszurka ta jest zupełnie wyczerpana i stała się bardzo cennym białym krukiem, tym bardziej, że nakład wynosił tylko 100 egz.

Obecnie w porze, gdy pozbawieni jesteśmy świeżych jarzyn, nie należy zapominać o cytrynie, tym bardziej, że zawiera w bardzo dużej ilości tak potrzebne dla organizmu witaminy.

Mieczysław Dunin Borkowski.

Savoir vivre

Jedzenie i zachowanie przy stole

Istnieją ludzie, z którymi się mile rozmawia i chętnie przebywa, dopóki nie trzeba z nimi zasiąść do stołu. Wówczas dopiero zaczyna się męka: niewiadomo, gdzie oczy podziać, bo wstręt bierze i wstyd się robi za niekulturalnego bliźniego.

Nieapetyczne, niechlujne jedzenie jest dowodem zupełnego braku okrzesania, czyni człowieka niepożądanym w towarzystwie i budzi odrazę. Każdy powinien o tym pamiętać i stale kontrolować swój sposób jedzenia, łatwo jest bowiem nabrać złych przyzwyczajeń, zupełnie o tym nie wiedząc.

Do tych brzydkich przyzwyczajeń należy przede wszystkim chlipanie, mlaskanie, szerokie otwieranie ust przy żuciu, branie do ust zbyt wielkich kęsów jedzenia. Równie wstrętne dla otaczających jest pomaganie sobie palcami przy jedzeniu. Tym się różnimy od dzikich plemion, że mamy do dyspozycji sztućce, czyli

widelec i nóż i nie potrzebujemy, jak Kafrowie lub inne ludy rozrywać mięsa palcami. Pragnąc sobie dopomóc przy nabieraniu jedzenia na widelec można do tego użyć kawałka chleba, lecz nigdy nie popychać palcami. Również kostki od drobiu obiera się nożem i widelcem, bez pomocy rąk. Do potraw, które można jeść palcami należą karczochy, raki, ostrygi, kukurydza, suche pierożki lub krokiety do zupy, wafle czy ciasteczka do kremu albo lody. Niektórzy jedzą też palcami szparagi, trzeba jednak przyznać, że jest to niezbyt estetyczne, lepiej więc tego unikać i posługiwać się widelcem.

Zostanie wykreślony z listy osób kulturalnych ten, kto włoży nóż do ust. Jest to zakaz bezwzględny, od którego nie wolno odstąpić pod żadnym pozorem. Nóż służy tylko do krajania potraw twardych, nie używa się go więc ani do siekaniny, ani do jarzyn i ryb. W domach, gdzie dbają o zastawę stołową, do ryby podaje się specjalne noże tępe, o kształcie łopatek. Nie służą one do krajania, gdyż na to zupełnie wystarczy widelec, lecz do usuwania ości. Taki nóż trzyma się zazwyczaj w lewej ręce, przeciwnie jak zwykły, w prawej zaś widelec do ryby, również nieco odmienny w kształcie od zwykłego, bo z trzema szerokimi, płaskimi zębami, niezaostrzonymi na końcach. Ten gatunek sztućców służy wyłącznie do ryby i gospodyni powinna pamiętać o tym, iż nie należy ich podawać do zakąsek, pasztetów ani jarzyn. W domach gdzie ich nie używają, ryby jada się widelcem, pomagając sobie w usuwaniu ości kawałkiem chleba.

Potrawy wziętej na talerzu nie kraje się od razu na kawałki, lecz w miarę jedzenia odkrawa się tylko jeden kawałek, który się niesie do ust. Sztućców nie trzyma się w garści: nóż i widelec wsuwa się głęboko między pierwszy i trzeci palec, naciskając u góry drugim. Łyżkę podtrzymuje się u dołu drugim i trzecim palcem, z góry pierwszym.

Do każdego posiłku, prócz, oczywiście, słodkich potraw, podaje się chleb. Przy szykowniejszej zastawie wkłada się w serwetę jeden lub dwa kawałki chleba, które biesiadnik wyjmuje przed rozłożeniem serwety i kładzie obok swego nakrycia. Sięgając po pieczywo, stojące na stole, bierze się z ogólnego koszyczka lub półmiska widelcem, nigdy zaś ręką. Trzeba pamiętać o tym, by nie odgryzać chleba z kawałka, lecz ułamywać po jednym kęsku i kłaść do ust. O ile jest nasmarowany masłem, należy w miarę jedzenia odkrawać małe kawałeczki, a to ze względu na to, by nie zatłuścić palców. Chleba podanego np. do obiadu nie je się w przerwach między potrawami, tylko razem z potrawą.

Do bardzo nieestetycznych przyzwyczajeń należy rozmawianie, gdy ma się usta zapełnione. Dlatego, chcąc sobie umożliwić niezwłocznie odpowiedzenie na pytanie, jakie może do nas skierować sąsiad, nie nakłada się zbyt wiele jedzenia do ust, w przeciwnym bowiem razie trudno jest je przełknąć i następuje zbyt długa zwłoka w odpowiedzi.

Kichanie, kaszlanie, ucieranie nosa przy stole jest nieapetyczne dla sąsiadów, w razie konieczności należy to załatwić dyskretnie, zasłaniając twarz czystą chustką do nosa. Było by dziś jednak śmieszne i niewłaściwe ukrywać głowę pod stół lub zasłaniać ją serwetą, gdyż w ten sposób zwróciłoby się na siebie jeszcze większą uwagę, niż przy normalnym ucieraniu nosa.

Jeśli podana potrawa jest tak gorąca, że jej nie można jeść, nie należy dmuchać ani przelewać np. łyżką zupy, tylko cierpliwie zaczekać aż ostygnie. Kończąc jeść zupę, gdy już trudno nabrać ostatnie łyki, trzeba talerz przechylić od siebie (nie do siebie).

Pestek od kompotu, chrząstek, ości itp., które wzięło się do ust nie wypluwa się na talerz i nie wyjmuje z ust rękami, lecz przysuwa się łyżeczkę czy widelec do ust, dyskretnie wypluwa i składa na swój talerz. Takie wyplute pestki nie są rzeczą apetyczną, przeto na wystawniejszych przyjęciach pani domu unika podawania niedrylowanych owoców. A co do chrząstek i ości — już sam jedzący powinien się starać nie brać ich do ust.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

J. ROLICZ

Spotkanie

(Dokończenie)

W oczach profesora pojawiły się iskierki humoru. — Biedna mała kobietka... — pomyślał — takie kruche naczynie i taki płomień... takie bogactwo...

Wracając ku domowi, szli cienistą aleją, gdy na jej końcu, ukazał się jakiś biały punkt.

— Oto tą pani właśnie, o której panu mówiłam — mówiła panna Basia. — Wyjechała na swój codzienny spacer, zwykle matka popycha jej wózek, a dziś służąca. Czasem przyłączam się do tych pań, bardzo są miłe...

Profesor wysilił swój przykrótki nieco wzrok i ujrzał już wyraźnie sunący naprzód fotel, a w nim postać kobiecą w jasnej sukni. Fotel popychany przez służącą, znalazł się wkrótce obok idących. Profesor ujrzał teraz wyraźnie bladą śmiertelnie twarz i naraz przystanął przed fotelem, który zatrzymał się również.

Profesor zastygły cały w przerażeniu, bez jednej kropli krwi w twarzy — szeroko otwartymi oczyma patrzył w sparaliżowaną... — To była Anna... jej rysy, jej oczy... Jakże dobrze znał tę jedyną twarz na świecie... Na obczyźnie majaczyła mu się często we snach... A teraz... czy to możliwe... dlaczego? — myślał gorączkowo, nie mogąc otworzyć ust z wrażenia.

Anna wstrząśnięta była do głębi spotkaniem, lecz oczy jej pełne były już blasku radości ona poznała go z daleka. Uważnie patrzyła teraz na profesora, gotowa wyciągnąć ręce do niego na powitanie, ale nie śmiała...

Panna Basia stojąc z boku, obserwowała z zajęciem twarze obojga. Domyśliła się, że tych dwoje musiało coś wiązać ze sobą... i naraz poczuła, że jest zbyteczną... Odeszła niezauważona przez tamtych z niewytłumaczonym żalem w sercu.

Anna powoli wyciągnęła rękę do profesora... Gdy ujął tę drobną dłoń w swoje ręce — jakiś żal ogromny ścisnął mu gardło, że nie mógł nic powiedzieć, i tak w milczeniu zbliżyli się do ławki. Anna oddaliła zaraz pokojową. I wtedy nawet, kiedy zostali sami, nie mogli znaleźć słów dla siebie.. W tym, ich milczeniu ciężkim, bolesnym — jak by dokonywała się naprędce praca niewykończonych dawniej uczuć, myśli i słów...

— Tak bardzo pragnęłam zobaczyć Ciebie choć raz jeszcze w życiu... — odezwała się Anna pierwsza.

Ale profesor patrzył ciągle w jej twarz tak mu drogą po wszystkie czasy, jak by odczytywał teraz w niej wszystko to, co mu było niewiadome od czasu rozstania.

— Dawniej — powiedział — Anno, twoja twarz tchnęła radością życia, oszałamiała takim dziwnym zmysłowym czarem a dziś Anno, taka inna jest twoja piękność, taka zupełnie inna... Anna, moja Anna... — powtarzał cicho — nie wierzę oczom, że widzę Ciebie... — i gładził delikatnie jej ręce. — Jak bardzo musiałaś cierpieć, ale o tym nic nie mów — nic... Wiem, przez walkę i cierpienie wypłynęła twoja łódź życia na ciche i czyste wody...

— Chciałabym wiedzieć wszystko o tobie... a o mnie— później, kiedyś... — powiedziała Anna ze smutkiem.

Gdy ruszyli z powrotem ku domowi, profesor popychając wózek, z rozrzewnieniem patrzył na jej głowę o jasnych falistych włosach, naznaczonych miejscami siwemi pasmami. Czuł, jak gromadzą się w nim nowe fale uczuć i wydało mu się, że dziś skończył się jakiś okres jego życia, z którego już nic nie wróci, a zaczyna się nowy, pełny przeczuwanych wartości niosących im może jakąś nową przemianę...

Przechodząc później korytarzem do swego pokoju, profesor minął, nie zauważywszy w zamyśleniu pannę Basię, która przystanęła na jego widok i patrzyła za nim dopóki nie zniknął jej z oczu. Kiedy przy stole jadalnym znaleźli się znów koło siebie, panna Basia poczęła przypatrywać się profesorowi z wielkim zajęciem.

— Ma pan minę człowieka, któremu uśmiechnęło się życie — powiedziała znienacka.

— Tak, zgadła pani... — powiedział z prostotą.

— Jak to dobrze... — szepnęła cicho, a żółta jak cytryna jej twarzyczka przybrała wyraz smutku.

— Panno Basiu... dla pani również kiedyś wybije godzina, w której pani pozna sens życia...

— Dziękuję panu... być może, że już nadeszła... — powiedziała z żałosnym uśmiechem i pochyliła głowę nad talerzem.

. . . .

Pewnego popołudnia pozostawiono Annę samą w ogrodzie w jej ulubionym zakątku, gdzie zwykle przesiadywała z matką, lub znajomymi. Czekała teraz na profesora. Schylona nad robótką myślała o nim. Zadzierzgnięta na nowo przyjaźń między nimi miała widoki trwałe. Ale czy można tak odrazu spokojnie przejść do porządku po ich spotkaniu i zamknąć przeszłość nic nie wspominając... Jeśli wspomnienie przeszłości niepokoi jeszcze, jest to znak, że pozostało coś, co trzeba wyrównać. Trzeba powiedzieć mu otem, co zaszło między nią i mężem wtedy... Musi powiedzieć o sobie wszystką prawdę, niech wie, że nie jest ofiarą, że zasłużyła... Kochała go zawsze, nawet wtedy, kiedy wyszła za innego. Była wampirem żerującym na pieniądzach i uczuciach tego drugiego, który ją kochał bezgranicznie. Musi to powiedzieć, jak on w szale zazdrości strzelił do niej i dlatego z nią tak jest, a później zabił siebie... Przecierpiała i przemyślała potem — długie jak wieczność lata. To było bezlitosne piekło życia. Z trudem przebrnęła przez zwały własnego egoizmu, pychy i buntu, aż padła złamana pragnąc śmierci. Śmierć nie przyszła, a męka została na długo.

Później ucichła szarpanina, to okropne zmaganie się ze sobą. Zbudziła się w niej świadomość winy. Z tajemniczej głębi ducha począł cicho wołać głos... W ciszy, jaka nastąpiła po burzy głos stawał się wyraźniejszy... Szła za nim, gubiła go i znów odnajdywała. Schyliła wreszcie kornie głowę i poddała się własnemu sądowi. Powoli jej kalectwo przestało być męką i nareszcie znalazła dobroczynny spokój. W wewnętrznej ciszy serca i myśli poczęła odnajdywać nowe prawdy, przez które poznawała życie.

Anna nie zauważyła narazie nadejścia profesora, który zajął miejsce na ławce obok jej fotela. Ujrzawszy go drgnęła, lecz po chwili już zupełnie spokojnie patrzyła na niego, a delikatna jej twarz była smutna i bardziej blada niż zwykle.

— Przed chwilą właśnie przejrzałam się w swoim życiu jak w krzywym zwierciadle... — powiedziała uśmiechając się żałośnie.

Profesor spojrzał ze zdziwieniem na Annę.

— Nie chciałabym abyś mnie stawiał na jakimś piedestale — mówiła dalej — nie zasługuję na to... Wiesz jaka byłam dawniej. Czy nie pomyślałeś nigdy, czym było moje życie zanim stało się to...

— Po co chcesz wskrzeszać przeszłość? Życie zawsze ma wartość — w każdych warunkach... Przeszłość w sumie różnorakich przeżyć — daje mądrość doświadczenia, którą zasilamy nasze dzisiaj i nasze jutro... A przez wielką laskę cierpienia otwiera się dusza z letargu ku poznaniu siebie i życia...

— Wdzięczna ci jestem za te słowa Marku — szepnęła Anna, a promienny uśmiech rozświetlił jej twarz i oczy.

— Jestem szczęśliwy Anno — mówił profesor dalej jak by nie słysząc jej słów — że spotkałem ciebie, bo widzisz, ja uważam, że najpiękniejszym celem w życiu człowieka powinno być ukochanie drugiego człowieka i służenia mu do ostatniego tchu... Pragnę, żebyśmy Anno żyli obok siebie. Nie możesz mnie odtrącić droga... Miłość wypływająca z pobudek erotycznych tworzy zawsze konflikty, ale my mamy to wszystko poza sobą...

Profesor mówił to wszystko z wielką prostotą, jak zwykle ujmująco i pogodnie. W jego duchowej strukturze nie było skomplikowanych dociekań, analiz i przeżywań. Żył prosto w harmonii z najlepszymi siłami świata przez swą wiarę w dobro.

Anna milczała wzruszona do głębi, nie znajdując słów w ciszy jaka objęła jej duszę. Pomyślała tylko, że tajemna ręka losu nie ominęła jej nieudanego życia. Podźwignęła z dna nędzy i dała miejsce wśród świata i ludzi. Jakże piękna jest chwila, która oczyszcza i zamyka wszystko zło przeżyte, otwierając nowe widnokręgi...

Lecz Greta zatrzymała ją i rzekła prosząco.

— Przyrzeknij mi, że będziesz tej nocy tu spała!

— Pewno, moja kochana — zapewniła stara — za pół godziny wniosę tu swoją pościel. Prześpij się trochę tymczasem.

To rzekłszy wyszła mrucząc do siebie: Jeszcze by mi tego brakowało! Nawet w nocy nie mieć spokoju, słyszeć kaszel i co chwilę wstawać! Nie, nie! Każdy jest sobie sam najbliższy!

Poszła do kuchni, najadła się jeszcze dobrze i położyła się w swoim pokoiku spać, nie myśląc nawet o chorej.

Greta daremnie na nią czekała, daremnie też wołała i dzwoniła. Nie mogła oka zmrużyć, a byłaby tak chętnie widziała wokoło siebie jakieś ludzkie stworzenie. Jedynym jej życzeniem było wyzdrowieć! Nie przeczuwała, jak blisko niej jest śmierć!

Wśród bezsennej nocy, przerywanej tylko od czasu do czasu napadem kaszlu, wydawał jej się czas okropnie długim. Była bliską omdlenia, ale usnąć nie mogła.

Z radością powitała pierwsze promienie słońca nad ranem. Sprawiło jej to ulgę.

Było już dość późno, gdy weszła Grammlowa tłumacząc się, że nie chciała zbudzić Grety wnoszeniem swej pościeli i dlatego nie przyszła na tę noc.

Greta wiedziała, że to było kłamstwo, ale nic nie odpowiedziała.

— Czy ci pomóc przy ubieraniu! — spytała stara.

— Jestem taka osłabiona, że nie mogę wstać — odpowiedziała Greta.

— A co ci zrobić na śniadanie? — dopytywała się Grammlowa.

— Wszystko mi jedno — była krótka odpowiedź.

Grammlowa pobiegła do kuchni i wróciła wkrótce ze szklanką kawy i kawałkiem babki.

Chora zrobiła tylko kilka łyków i padłszy znów na poduszki, patrzała dziwnie zamyślona przed siebie.

Grammlowa wyszła i krzątała się hałaśliwie w sąsiednim pokoju.

— Gretko — rzekła ona wchodząc znów do sypialni — muszę cię znów poprosić o trochę pieniędzy, bo już nie mam ani centa!

— Weź sobie — rzekła Greta słabym głosem i wskazała na komodę.

Stara zobaczyła ze zdziwieniem, że klucz, który Greta zwykle tak starannie chowała, tkwił przy szufladzie. Wyjąwszy jednak szkatułkę, zobaczyła z przerażeniem, że tam zaledwie kilka reńskich jeszcze się znajduje.

— Mój Boże! — krzyknęła ona — czy to wszystko, co ty posiadasz, Gretko?

— Wszystko — odparła Gretka spokojnie.

— A co dalej poczniemy? — lamentowała stara — to wystarczy zaledwie na dziś i jutro! Najlepsze meble już wysprzedane, a za resztę niewiele dostaniemy!

— Będziesz znów musiała pójść do Barona Sturmfedera! — rzekła Greta spokojnie.

— Gretko moja, ty nie wiesz sama co mówisz! — lamentowała stara. — Gdym ostatni raz była u barona, to on o mało że mnie nie zabił, taki był wściekły. Zagroził mi też, że odda mnie policji, za wyłudzanie pieniędzy.

Greta nie dała żadnej odpowiedzi, a stara wyszła gderając i nie pokazywała się u łoża chorej.

Wtem rozległ się nagle tak straszny, przerażający okrzyk, że aż Grammlowa przybiegła do sypialni przestraszona.

Na łożu zbroczonym krwią, leżała Greta śmiertelnie blada.

— Po doktora, prędko — jęknęła z trudem — umieram!

Grammlowa poznała, że Greta jest już w agonii i przerażona, nie wiedząc sama co robi, złapała za kapelusz i wybiegła na ulicę, pod pozorem przywołania doktora.

Greta leżała osłabiona i wyczerpana z sił, nie wiedząc nawet, że jest sama. Nie widziała nic wokoło siebie, lecz zapatrzona w dal, miała dziwne wizje.

Przed oczyma roztaczały się cudne łąki, pełne najpiękniejszych kwiatów. Na drzewach siedziały ptaszki śpiewając wesoło; piękne, różnobarwne motyle fruwały w powietrzu, a nad wszystkim tym wznosiło się sklepienie niebios.

— Jakie to wszystko cudne! — szepnęła Greta, uśmiechając się błogo — jak szczęśliwą ja tutaj będę!...

Uśmiechnęła się raz jeszcze, a potem westchnęła lekko i przymknęła powieki na zawsze.

Lekka śmierć uwolniła ją od cierpień, niedostatku i grzechów ziemskiego życia!

. . . .

Godna pani Grammlowa straciła niebawem pieniądze, które sobie zaoszczędziła i zmuszona biedą przyjęła posadę jako bona do dziecka. Ale jej nałóg, t.j. pociąg do flaszki sprawił, że ją prędko z tego miejsca wydalono.

Nie mogła się nigdzie długo utrzymać i zewsząd wypędzano ją po krótkim czasie. Wkońcu umarła w przytulisku dla biednych.

Grób Grety, podziwianej dawniej baletnicy, został zapomniany. Nie było na nim nawet krzyża i żadna kochająca ręka nie ozdobiła go kwiatami.

Biedna Greta! Zabrała ona to, co posiała!

Miejmy nadzieję, że Bóg wiekuisty będzie dla niej łaskawym sędzią.

ROZDZIAŁ CCCVIII.

Towarzysze niedoli

Podstępna, fałszywa Cyganka tryumfowała teraz, że swego kochanka tak pokonała. Co ją obchodziła rozpacz Alojzego? Pozbyła się natręta z zimną krwią, a pozatem nie potrzebowała się obawiać spełnienia wyroczni, która przepowiadała śmierć jej, równocześnie ze śmiercią Alojzego.

Po kilku godzinach odsunęła znów płytę, wrzuciła kilka wiązek słomy, kilka koców i spuściła na sznurze kosz z wiktuałami.

— Wybieraj prędko jadło z kosza, abym go mogła pociągnąć pod górę.

Ale zamiast usłuchać jej rozkazu, skoczył Alojzy zaciskając pięści:

— Ty fałszywa żmijo! Nie jesteś warta, że cię ziemia nosi! Poczekaj, niech się tylko stąd uwolnię, to poznasz moją zemstę! Głupiec byłem, że wierzyłem w twoją wierność, a ty mnie od początku okłamywałaś i oszukiwałaś! Wiem teraz, że i hrabiego przede mną oczerniałaś i że nie hrabia za tobą, lecz ty za hrabią szalałaś!

— Dopiero teraz o tym wszystkim się dowiadujesz — szydziła Cyganka. — Trochę za późno!

— Drwisz jeszcze — pienił się Alojzy — Boże, wybaw mnie, a ja temu stworzeniu serce z piersi żywcem wyrwę!

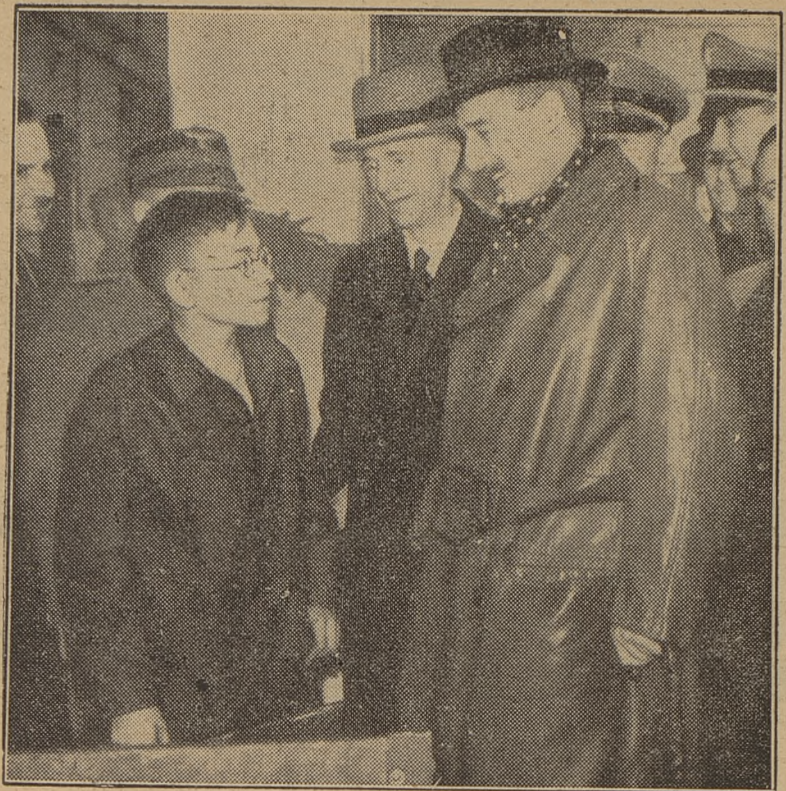
— Radzę ci, bądź z tym ostrożny! — odparła Ilona z szyderczym uśmiechem. — Wiesz bowiem, że z chwilą, gdy ja umrę, to i ty zginąć musisz! Tak nam przepowiedziano!

— Co mi na życiu zależy! — krzyknął Alojzy — chcę tylko zemścić się na tobie i umrzeć!

— Wątpię, czy ci się zemsta uda! — zaśmiała się Cyganka — bo żywy nie



Amerykański lotnik Jimmie Mattern zamierza przelecieć nad biegunem północnym z Ameryki do Moskwy.



Brytyjski poseł w Niemczech, sir Neville Henderson w rozmowie z młodym uczestnikiem konkursu dla uczniów szkół dokształcających.

opuścisz więzienia! — Pan hrabia zaś, każdej chwili może odzyskać wolność, pod pewnym warunkiem, naturalnie!

— Wolałbym umrzeć, niż na te warunki przystać. — zapewnił hrabia. — Pogardzam tobą z głębi mej duszy, ty potworze! Czem ty jesteś w porównaniu z moim aniołem, z moją Sylwią?

Ilonie oczy się zaiskrzyły z wściekłości.

— Nierozsądny szaleńcze — syknęła. — Ty mnie obrażasz i odtrącasz rękę, którą ci podaję, aby cię uratować? Zapominasz, że jesteś zupełnie w mojej mocy? odpokutujesz ty za swoje ostre słowa!

To rzekłszy, podciągnęła znów kosz z prowiantem w górę i zasunęła gniewnie kamienną płytę.

— Głód i pragnienie zmiękczą cię już, mój dumny hrabio — mruknęła.

Cyganka nie wiedziała o tym, że hrabia odkładał codziennie kawałek chleba i miał w ten sposób rezerwowy zapas prowiantu, na wypadek strajku swoich dozorców, aby się od śmierci głodowej uchronić.

— Ta czarownica nas teraz będzie głodem morzyła — zaklął Alojzy dziko.

— Nie obawiaj się — pocieszał go hrabia — oto patrz na moje zapasy.

I odsunąwszy jedną płytę z podłogi, wyjął z zagłębienia dębową kasetkę, którą nieszczęśliwy Ignac ukradł pani Herbert. Otworzywszy ją, ukazał Alojzemu swój zapas chleba.

— Widzisz, że na razie nie umrzemy z głodu — rzekł hrabia — możesz jeść ile chcesz, a jak się zapas skończy, to będziemy wspólnie głodować!

— O, panie hrabio — zawołał Alojzy zawstydzony tą dobrocią — ja wcale to nie zauważyłem! Teraz dopiero widzę, jak nikczemnie się z panem obchodziłem. Żałuję teraz z całego serca swojego postępowania i nigdy panu tej dobroci nie zapomnę. Zły mój czyn zaczyna się już na mnie mścić, bo gdybym ja pana tu nie był więził, to Cyganka nie byłaby mnie tu zamknęła.

Ze szczerą skruchą prosił teraz hrabiego o przebaczenie.

— Przebaczam ci — odparł hrabia Werner — może się Bóg nad nami zlituje i ześle nam anioła, który nas z tego okropnego więzienia uwolni!

— Może nam ześle pannę Sylwię — odparł kasztelan i zaczął hrabiemu opowiadać jakie wysiłki Sylwia czyniła, aby go uratować. Hrabia wiedział wprawdzie po części o tym, ale słuchał z przyjemnością opowiadania kasztelana. Przekonany teraz o wierności tego człowieka, postanowił odkryć mu pochodzenie Sylwii.

— Przysięgnij mi — zaczął solennie — że mnie ani przed Iloną, ani przed baronem Sturmfederem nie zdradzisz, to ja ci coś powierzę.

— Przysięgam na swoją biedną duszę — zawołał Alojzy.

— Panna Sylwia nie jest córką leśniczych — rzekł hrabia.

— Wiem już o tym z tego listu, który był w kasecie — odparł Alojzy trochę rozczarowany.

— Ale nie wiesz, kto jest ojcem panny Sylwii? — zapytał hrabia.

— Nie — odparł kasztelan.

— Jest ona córką zmarłego hrabiego Ernesta Wildensteina — poinformował go hrabia.

Alojzy wydał okrzyk najwyższego zdziwienia.

— Panna Sylwia jest więc na wypadek mojej śmierci prawowitą spadkobierczynią dóbr i posiadłości hrabiów Wildensteinów — ciągnął Werner dalej — wszystkie papiery świadczące o jej pochodzeniu, były w tej kasecie!

— Więc dlatego baron Sturmfeder, ten łotr, kazał wykraść kasetę! — zawołał Alojzy. — Chciał pozbawić pannę Sylwię dowodów, że ma prawo do tego spadku!

— Lecz łotrostwo jego się nie udało — tryumfował hrabia — papiery te są teraz w moim posiadaniu, przysięgnij mi, że je oddasz pannie Sylwii, albo jej przybranym rodzicom na wypadek, gdybym ja umarł, nim osięgnę wolność!

— Niech mnie Bóg ciężko skarze, jeżeli nie dotrzymam przyrzeczenia — zapewnił kasztelan uroczyście — niech zginę, jeżeli skrzywdzę pannę Sylwię na korzyść barona, którego nienawidzę i którego chciałbym o kiju żebraczym widzieć.

— Dobrze — rzekł hrabia — zaufam ci. Wyjąwszy z siennika papiery dowodzące pochodzenie Sylwii, jako córki hrabiego Ernesta Wildensteina, pokazał je Alojzemu.

— Będzie to broń przeciwko baronowi — mruknął kasztelan, patrząc na papiery iskrzącym wzrokiem — czekaj panie baronie! Nadejdzie jeszcze dzień, w którym mnie będzie na klęczkach o litość błagał, a ja go zbędę szyderstwem, tak jak on mnie wtedy, kiedym cię o pomoc błagał!

Był tak zupełnie pogrążony w myślach o zemście, że zapomniał zupełnie o swej sytuacji.

Ale hrabia wyrwał go z zadumy, mówiąc:

— Jesteśmy teraz towarzyszami niedoli. Starajmy się wspólnymi siłami uwolnić! Mam ostry nóż ,za pomocą którego możemy z łóżka mego sporządzić rodzaj drabiny i po niej się na górę dostać. Ilona nie odważy się zejść do nas, bo wie, że mybyśmy ją we dwoje pokonali.

— O, ona nie przyjdzie — odparł Alojzy — ona jest zbyt ostrożna! Ale proszę pokazać nóż, panie hrabio!

Obejrzawszy go, wyraził obawę, że nóż ten nie wystarczy jako narzędzie do sporządzenia drabiny z twardego drzewa dębowego, z którego łóżko było zrobione, ale mimo to zaczął rozbierać łoże, a hrabia pomagał dzielnie przy tym.

Lecz niestety, nóż złamał się przy pierwszym silniejszym cięciu Alojzego.

Kasztelan wyjął swój nóż z kieszeni i zaczął dalej pilnie pracować, ale i to narzędzie prędko poszło w kawałki.

Obaj towarzysze niedoli spojrzeli smutno po sobie.

— Znikła ostatnia nasza nadzieja — mruknął Alojzy.

Hrabia zamyślił się na chwilę, wreszcie rzekł:

— Mam tu żelazną, długą sztabę i zdaje mi się, że gdybyśmy mogli ogień wzniecić i przy nim sztabę tę rozpalić do czerwoności, a potem tą sztabą przepalić te miejsca, którymi łoże do ściany jest przymocowane, to moglibyśmy podsunąć łóżko, tak jak jest, pod otwór. Spróbowalibyśmy później wydrapać się na górną część łoża i wspólnymi siłami odsunąć tę płytę, która nas dzieli od świata Bożego. Wtedy bylibyśmy wolni!

— A skąd weźmiemy drzewo na rozniecenie ognia? — spytał Alojzy.

— Weźmiemy na to tę dębową kasetę — doradził hrabia Werner.

Alojzy złapał pospiesznie kasetę i rzucił ją o ziemię, aby ją tym na kawałki połamać, ale silna kaseta padła na podłogę nie rozbiwszy się.

— Poczekaj, dam sobie radę! — mruknął Alojzy i rzucił kasetę o powałę więzienia. Tym razem spadła ona na podłogę bardzo uszkodzona...

Alojzy rzucił nią jeszcze kilka razy o sklepienie i spadała ona na ziemię z takim trzaskiem, że się hrabia obawiał, że Ilona usłyszy i przybiegnie.

Ale Cyganki nie było nawet w zamku. Poszła do Petersburgu, aby zakupić świeżego prowiantu.

Kasztelan nałupał tymczasem sporo trzasek z połamanej kasety, nałożył na nie garść słomy i podpalił. Gdy się płomień

wysoko podniósł, nałożył Alojzy większych kawałków drzewa i rozpaliwszy przy tym ogniu żelazną sztabę do białości, zaczął odpalać łoże w miejscach, gdzie ono do ściany było przymocowane.

— Musimy być bardzo ostrożni — rzekł hrabia — aby się łóżko nie zajęło.

— Musimy się bardzo spieszyć — odparł Alojzy — bo mamy mało materiału palnego, a konewki nie możemy użyć, bo najpierw nie mamy gdzie wylać wody, a powtóre, nie możemy jej wylać, bo nie wiemy, jak długo nas ta czarownica bez kropli wody zostawi!

Spieszyli się ile mogli, ale nim jeszcze zdołali odpalić łóżko z jednej strony, ogień zgasł, bo nie mieli co dokładać.

Alojzy, który miał nadzieję, że się tym sposobem potrafi uwolnić, bardzo się zasmucił i oglądał się trwożnym wzrokiem wokoło, aby znaleźć jakie wyjście z tego grobu.

Ale teraz własna jego broń zwróciła się przeciwko niemu, gdyż on sam użył dawniej całej swej bystrości, aby przeszkodzić umknięciu hrabiego z tego miejsca.

— Jeżeli Bóg cudem nas nie uratuje, to jesteśmy straceni! — lamentował Alojzy. — Ach, panie hrabio, zgrzeszyłem ciężko przeciwko panu, ale Bóg mnie też ciężko karze!

ROZDZIAŁ CCCIX.

Ojciec i syn

Gdy tajny agent Sperling zaaresztował aptekarza Haia, ten zaczął się zaraz oglądać za sposobnością do ucieczki.

Ale Sperling tak silnie trzymał rękę swego więźnia, że o wyrwaniu się mu nie było mowy. Trzeba więc było użyć podstępu.

— Trzeba oddać cesarzowi, co jest cesarza — rzekł obłudnie — jestem zanadto dobrym poddanym, aby się opierać cesarskiemu urzędnikowi. Pójdę więc za panem bez oporu.

To rzekłszy szedł spokojnie obok detektywa.

Tymczasem zobaczyli wszyscy przechodnie jasny płomień w oknie i rozległ się wokoło okrzyk: Pali się, pali się!

Hai odwrócił się w stronę swego domu i krzyknął z dobrze udanym zdziwieniem:

— Boże kochany, dom mój się pali! Muszę koniecznie wrócić się i uratować wielką sumę, którą mam w wartościowych papierach, a która nie jest moją własnością!

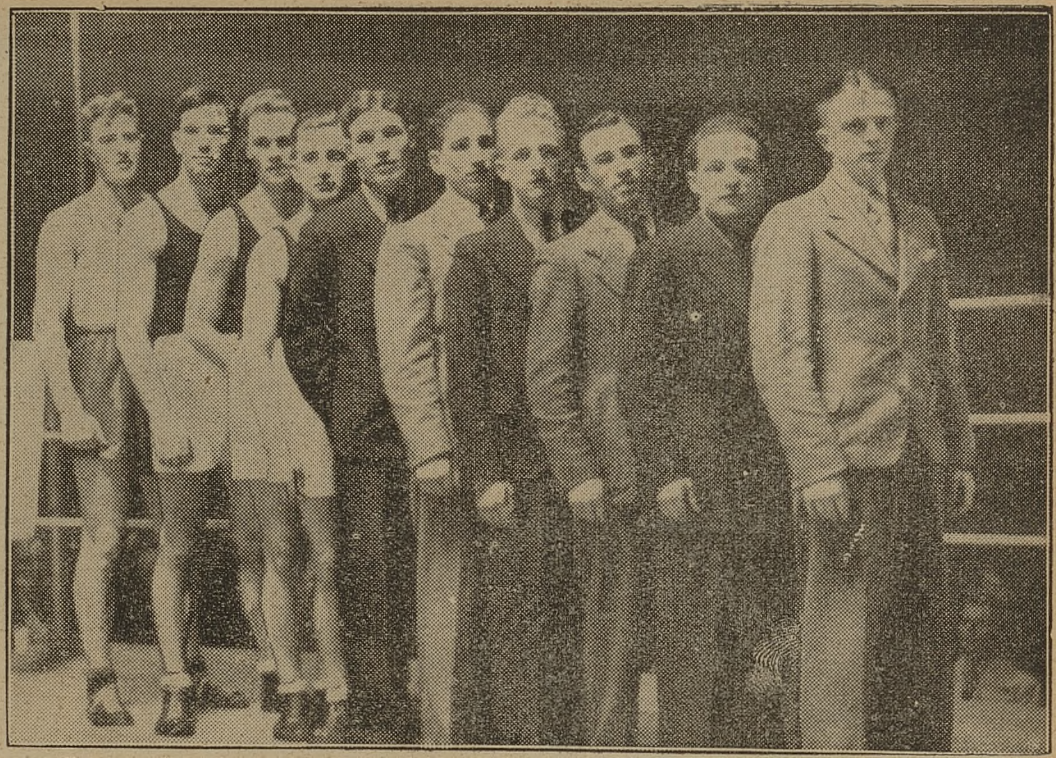
— Dlaczego pan pieniędzy tych nie schował do ogniotrwałej kasy? — zapytał Sperling niedowierzająco.

— Jest to depozyt — odparł Hai — który początkowo miał u mnie być tylko przez kilka godzin i żona moja nie miała nic o tym wiedzieć. A ponieważ ona często do kasy zagląda, więc wolałem mieć te pieniądze gdzieindziej.

Mówiąc to zawrócił Hai w stronę domu i pobiegł prędko, a Sperling pospieszył niechętnie za nim, nie wypuszczając jego ręki, ani na chwilę ze swojej.

Równocześnie z nimi weszła masa obcych ludzi do palącego się domu.

Zdarto firanki z okien i ugaszono płomień, nim jeszcze wielką szkodę mógł wyrządzić.



Drużyna bokserska Europy na mecz z Am eryką. Piąty od lewej Polak — Kolczyński.

— Chodź Teobaldzie — szepnęła pani Hai, podczas gdy obcy ludzie zajęci byli gaszeniem płomieni — teraz albo nigdy!

Podała mu ramię i wydostała się z nim na ulicę.

— Dokąd pojedziemy? — spytał Teobald swą matkę.

— Każemy się dorożką zawieźć na dworzec — rzekła pani Hai — aby ludzie myśleli, żeśmy Wiedeń opuścili. W rzeczywistości jednak zostaniemy tu w ukryciu. Znam jedną kobietę, która ma restaurację i tandeciarnię. Nazywają tu ją długą Franciszką. Ta kobieta da nam przytułek i schronisko, dopóki o historii tej nie zapomną. Naturalnie, trzeba jej będzie dobrze za to zapłacić!

— Jest to pewno bardzo podejrzana osoba — mruknął Teobald, marszcząc brwi.

Pani Hai skinęła potakująco głową.

— Czy będziemy tam całkiem bezpieczni? — spytał znów synalek.

— Przynajmniej ja nie znam lepszego schowka — szepnęła pani Hai.

Żałowała jednak za późno, że sobie nie umiała zjednać ani jednej przyjaciółki, która by się dla niej naraziła i w tej niedoli przytułek jej dała. Były to tylko fałszywe przyjaciółki!

— Franciszka jest naszą jedyną nadzieją! — szepnęła z westchnieniem.

Z trudem tylko dowlókł się Teobald do najbliższej dorożki. Noga bolała go szalenie przy każdym kroku, tak, że musiał zaciskać zęby, aby nie krzyczeć na głos z bólu.

W pospiechu potknął się i byłby upadł na ziemię, gdyby go matka z natężeniem wszystkich swych sił nie podtrzymała.

Doszedłszy do najbliższego fiakra, kazała się pani Hai zawieźć na najbliższy dworzec kolejowy.

— Pani dobrodziejka pewno z synem do wód — zapytał znajomy dorożkarz.

— Tak, jedziemy do Francji — odpowiedziała aptekarzowa bez zająknienia się.

Lecz w tej chwili zbliżył się tajny agent Zwirner, zadyszany, do dorożki i dawszy woźnicy znak, aby stanął, otworzył drzwiczki powozu i rzekł cicho, aby nie zwrócić uwagi przechodniów:

— Pan Teobald Hai jest moim więźniem! Pani zaś jest wolną.

— Dlaczego mnie kazali uwięzić? — spytał Teobald zuchwale i wyzywająco.

— Bo pan zrobił zamach skrytobójczy na życie markiza de Lorme — odparł Zwirner spokojnie.

— To nieprawda! To oszczerstwo złych ludzi, którzy syna mego chcą zgubić — krzyknęła pani Hai z rozpaczą. — Ja gościłam markiza u siebie, gdy był chory i pielęgnowałam go jak syna, a on tak się odpłacił! Odmówił synowi memu narzeczoną i w dodatku chce go zniszczyć. Ale prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa i okaże się niewinność mego syna.

— Byłoby to bardzo dobrze dla syna pani, gdyby mu się udało wykazać swą niewinność — odparł agent z szyderczym uśmiechem — tymczasem jednak, ja muszę wypełnić rozkaz.

— Mój syn jest chory i pobyt w więzieniu go dobije — lamentowała pani Hai.

Zwirner wzruszył ramionami i rzucił pani Hai wielomówiące spojrzenie, które ona natychmiast zrozumiała.

— Ja mam pieniądze — szepnęła — ułatw pan synowi memu ucieczkę, a ja to panu suto wynagrodzę. Ile pan żąda za uratowanie?

— Nie mógłbym tego teraz przy najlepszej chęci uczynić! — szepnął Zwirner — bo gdyby się wykryło, to ja bym całą swoją egzystencję stracił!

Słowa jego dodały matce i synowi odwagi i nadziei, bo chociaż nie brzmiały one bardzo pocieszająco, to jednak nie wykluczały możliwości jego pomocy, wobec widoków znacznych korzyści.

— Nie wykryje się, jeśli pan to zręcznie urządzi — szepnęła pani Hai — a pan jest dość mądry i ostrożny! Ofiaruję panu 10.000 zł za nasze uratowanie. Niech pan zważy, że to nie drobnostka!

— Ładna to sumka — potwierdził Zwirner — ale ja ryzykuję całą swoją egzystencję. Jeśli pani mi nie może dać trzy razy tyle, to ja się tym nie mogę zadowolić.



Premier, minister spraw wojsk. Francji Daladier i min. spraw zagr. Bonnet odbyli w Londynie szereg doniosłych konferencyj.

— Tyle dać nie mogę, bo sama tyle nie mam — odparła pani Hai — ale dam 15.000, jeśli pan mnie i Teobalda bezpiecznie przez granicę przetransportuje.

— 20.000 zł — rzekł Zwirner, a oczy jego zaświeciły się chciwością.

— Dobrze — rzekł Teobald, któremu się ziemia pod nogami paliła — dostanie pan te pieniądze, tylko wyprowadź nas pan z niebezpieczeństwa. Czy woźnica nie słyszał naszej rozmowy?

— Broń Boże! — uspokoił go Zwirner, mówiliśmy tak cicho, że nie mógł ani słowa usłyszeć. Zawiozę państwa do jednego z moich mieszkań.

— Lepiej będzie od razu się stąd wynieść — nalegał Teobald.

— Niemożliwe — odparł detektyw — bo jest jeszcze jasny dzień i muszę się wpierw o stosowne przebranie dla pana i matki pańskiej wystarać, bo inaczej was zaraz na dworcu przyłapią.

Zarówno matka jak i syn uznali słuszność tych słów.

Wsiadłszy do dorożki wymienił Zwirner woźnicy znaną piwiarnię i kazał mu tam jechać. Wiedział bowiem, że lokal ten ma dwa wyjścia i postanowił ulotnić się z Haiami drugim wyjściem.

— Niech pan nasunie kapelusz na czoło i trzyma chusteczkę przy ustach — doradził on Teobaldowi, a do pani Hai rzekł: niech się pani wciśnie w kąt powozu, aby panią przechodnie nie poznali!

Oboje usłuchali rad Zwirnera i niebawem stanęła dorożka przed lokalem. Wysiedli i detektyw opłaciwszy dorożkarza przeprowadził ich przez tylne wyjście na małą odludną uliczkę.

Teobaldowi pot ściekał z czoła z natężenia i bólu.

Wlókł on się z największym wysiłkiem, mimo że opierał się o matkę i Zwirnera.

— Nie mogę iść dalej — wyjąkał on wreszcie.

— Dojdziemy zaraz do celu — pocieszał go detektyw — jeszcze tylko kilka kroków do mego mieszkania.

— Wytrwaj jeszcze te kilka minut — zachęcała go matka — chodzi tu o twoją przyszłość.

Teobald wstrzymał się z trudnością od okrzyku bólu i powlókł się dalej.

Pani Hai odetchnęła lżej, gdy ich Zwirner wreszcie wprowadził do kamienicy i otworzył drzwi swego mieszkania na parterze.

Teobald padł na pierwsze krzesło, które napotkał i zaczął ocierać pot z czoła.

— Czy nie ma pan trochę wina? — spytała pani Hai — mój syn jest całkiem wyczerpany.

Zwirner zamknął drzwi wchodowe na klucz, spuścił okiennice, odsunął kanapę na bok i pocisnął jedno miejsce tapety. Wąskie, ukryte drzwiczki odskoczyły i ukazały małą ścienną szafkę, na której jednej półce znajdowała się flaszka wina i szklaneczka.

Lecz zanim detektyw miał czas wyjąć flaszkę z ukrycia, odezwało się silne pukanie do drzwi i rozkazujący głos zawołał:

— Otwórz pan, panie Zwirner! Wiem dokładnie, że pan jest w pokoju i jeżeli pan w tej chwili nie otworzy, to ja przemocą drzwi wyłamię!

Zwirner porozumiał się wzrokiem ze swoimi wspólnikami niedoli, i wsunąwszy Teobalda do otworu w ścianie, przymknął drzwiczki, zasunął kanapę i po biegł spiesznie otworzyć drzwi wchodowe.

Pani Hai położyła się tymczasem na kanapę i zaczęła płakać i szlochać.

Miała więcej powodu do płaczu niż sama przeczuwała, gdyż następna godzina miała przynieść największy ból jej życia!

Skoro tylko Zwirner otworzył drzwi, wszedł do pokoju wysoki, silny mężczyzna i krzyknął gniewnie do Zwirnera:

— Czego mi pan tak długo dał na dworze czekać?

— Otworzyłem natychmiast — bronił się detektyw.

— Gdzie jest Teobald Hai? — zawołał on znów — widziałem, że wchodził on tu równocześnie z panem!

— To się pan bardzo omylił — skłamał Zwirner — niech pan go tu szuka jeśli pan chce. Widzi pan przecież, że ten pokój nie ma drugiego wyjścia, a przed tymi drzwiami pan sam stał; więc nikt tędy wyjść nie mógł!

Mówił to z taką pewnością, że zmylił przybyłego.

— Ale ta pani na kanapie jest panią Hai — rzekł znów obcy mężczyzna.

— Nie przeczę temu — odparł Zwirner.

— Tam gdzie matka, tam musi być i syn — rzekł obcy — spuścił pan okienice i zamknął pan drzwi, to podejrzane!

— Wcale nie — zawołał detektyw — nie chciałem tylko, aby wiedzieli sąsiedzi, że mam wizytę i aby plotek nie robili!

Tymczasem obcy, widocznie wyższy urzędnik policyjny, przeszukał cały pokój, poobmacywał wszystkie ściany i zbliżywszy się do pani Hai, która szlochała i nie chciała się z miejsca ruszyć, odsunął ją wraz z kanapą aby i tę ścianę zrewidować.

Serce pani Hai zabiło gwałtownie, a twarz jej zbladła śmiertelnie.

— Jeśli odnajdzie drzwiczki, syn jej będzie stracony!

Złożyła ręce i zaczęła się po cichu modlić.

— Ochroń go, Matko Boska! — szeptały zbielałe jej usta!

Odetchnęła wreszcie lżej, gdy urzędnik po bezowocnym obmacaniu siadł niezadowolony na krześle i zaczął przesłuchiwać Zwirnera.

Trwało to przeszło godzinę, w ciągu której pani Hai znosiła piekielne męczarnie.

Zwirner wywijał się jak piskorz, nie dał się zbić z tropu pytaniami swego przełożonego i obstawał przy tym, że Teobalda nie ma w pokoju.

Pani Hai zasłoniła twarz chusteczką i płakała rzewnie i szczerze.

Tymczasem znosił i Teobald w swoim schowku prawdziwe tortury.

Najpierw obawiał się, że go urzędnik odnajdzie, potem nie mógł ze zdenerwowania złapać oddechu, a noga tak szalenie go bolała, że mógł się tylko z nadludzką siłą woli wstrzymać od jęczenia i okrzyku boleści. Pot spływał mu z czoła. Śmiertelna trwoga go ogarnęła.

Byłby najchętniej uderzył pięściami we drzwi, i krzyknął na głos:

— Wypuście mnie, bo się uduszę, umieram!

Lecz wstrzymał się od tego z nadludzką siłą woli, sądząc, że to by było dobrowolnym wydaniem się katowi w ręce.

Miał nadzieję, że obcy lada chwila odejdzie, i że matka natychmiast mu drzwi otworzy.

Daremnie starał się przyjąć jakąś wygodniejszą pozę.

Szamocąc się tak, uderzył głową o półkę, na której stało wino.

— Gdyby ten obcy nareszcie chciał odejść — jęknął Teobald.

Byłby cały swój majątek oddał za trochę powietrza. Sapał jak miech kowalski, obawiając się przy tym, aby się szmerem nie zdradzić.

Serce jego biło głośno, a na duszy zaciążyły wszystkie jego winy, przestępstwa i łotrostwa, które w życiu swoim popełnił.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

MARIA REUTT

5)

Anna

Od tego ranka stosunki między Leonem a Wandą stały się jeszcze więcej naprężone. Rozmowy ich ograniczały się li tylko do spraw majątkowych. Jedynie z panem Zułowskim zapuszczał się czasem w debaty polityczne. Częściej grał z nim w szachy, chociaż pobyt w salonie starał się ograniczyć do minimum, wymawiając się od dalszych partii brakiem czasu, lub sprawami służbowymi.

Lubił starego pana i chętnie by częściej i dłużej z nim przebywał, gdyby nie obecność Wandy.

* * *

Idąc na kolację pewnego wieczoru usłyszał z poza zamkniętych drzwi salonu śmiech i wesołą, ożywioną rozmowę.

— Goście... — zdziwił się. Tak rzadko ktoś przyjeżdżał do pałacu.

Zawahał się w pewnej chwili, Cofnąć się? Miał dosyć „wyniosłości" swej chlebodawczyni.

Odezwała się w nim duma Bilińskich. Czy mogła mu ubliżyć śmieszna zarozumiałość i złe wychowanie głupiej, nadętej dziewczyny?

Nacisnął na klamkę i wszedł do jasnooświetlonego zachodzącym słońcem pokoju. Pośrodku salonu stała tłuściutka, ciemnowłosa kobieta, roześmiana, rozbawioną.

Na jego widok oczy jej rozszerzyły się zdumieniem. Gdy całował jej rękę śmiała się, jakby ubawiona jakąś swoją myślą.

— Poznałam pana odrazu — powiedziała, a gdy popatrzył na nią ze zdziwieniem dodała:

— Spotkaliśmy się z panem już uprzednio.

Patrzył na nią niedowierzająco. Pytający wzrok przeniósł na Wandę, która zajęta była rozmową ze szczypłą, wysoką panią. Pokazywała jej jakieś dawne sztychy i obydwie pogrążone były w starych pożółkłych kartonach. A pulchna pani ciągnęła dalej:

— Tak, spotkaliśmy się kilka lat temu w pociągu jadącym do Monachium. Pan podróżował z kolegą, my z Wandą i z nauczycielką.

Rozłożył ręce bezradnie.

— Nic nie pamiętam.

— Tak... tak... mężczyźni mają zawsze krótką pamięć. Nie tak jak my kobiety!...

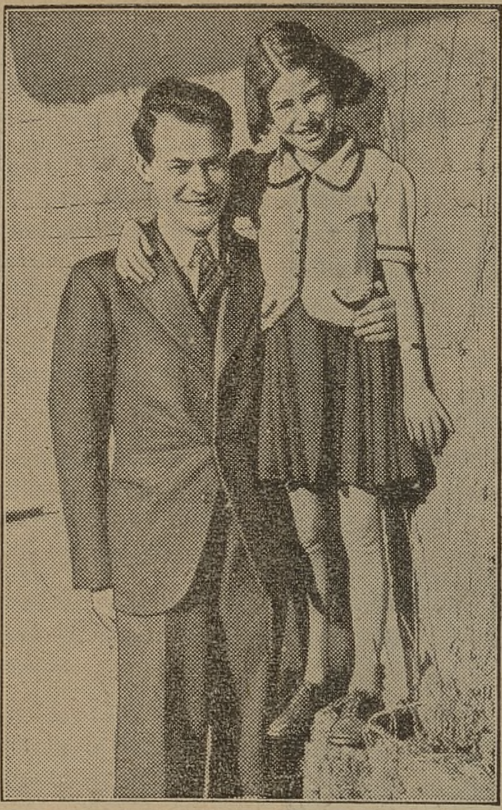
— Halino, pozwól, że zaznajomię panią Annę z panem Bilińskim — przerwała im Wanda zbliżając się do nich.

— Pan Leon Biliński — pani Anna Grodkiewiczowa.

Drgnął i poczerwieniał.

Stała przed nim Anna, jego Anna, przekleństwo jego zmarnowanego życia, zmora bezsennych nocy, śliczna, strojna, przymilna, dawna Anna.

Nie wiedział jak postąpić. Czy udać, że jej nie zna, czy też rądośnie wyciągnąć do niej rękę. Wpatrzył się w nią, nie wierząc oczom. — Anna! Anna, córka lokaja, Anna, żona bolszewickiego komisarza, szpieg bolszewicki dobrze płatny tu w tym pałacu na stopie zażyłego gościa z gospodarzami domu... Gdy on stał



Niemieckie władze sportowe zaangażowały doskonałego norweskiego skoczka o tyczce, Charles'a Hoffa, jako trenera.

przed nią osłupiały, zaskoczony, ona nie straciła ani na chwilę przytomności umysłu. Śmiała się do niego wesoło, radośnie śmiechem niewinnego ucieszonego szczerze dziecka.

— Co za niespodzianka — wołała wyciągając do niego poufale rękę. Nie spodziewałeś się spotkać mnie tutaj.

— Ja również. Ale tym większą przyjemność sprawiło mi to spotkanie. Ogromną przyjemność — dodała z naciskiem.

Pocałował ją w rękę w milczeniu, nie mogąc wydobyć głosu z gardła, a ona śmiała się w dalszym ciągu swobodnym, niewymuszonym śmiechem.

— Ostatni raz widziałeś mnie zakochaną bez pamięci. — Dziś stoi przed tobą stara mężatka, żona bardzo poważnego i poważanego męża.

— Bardzo się z tego cieszę — odpowiedział krótko.

Nie rozmawiali więcej ze sobą, gdyż pani Halina zaanektowała go na cały wieczór. Żywa jak skra, dużo mówiąca, wesoła i dowcipna narzuciła mu się jak mała rozpieszczona dziewczynka. Była bliską kuzynką Wandy, mieszkała w sąsiednim mieście, gdzie mąż jej był starostą.

— — — — — — — — —

Odjeżdżając pani Halina wymogła na Leonie obietnicę, że odwiedzi ją wkrótce.

— Tak mało mamy młodych ludzi w naszym kółku, że każdy miły i inteligentny mężczyzna jest przez nas witany bardzo mile nietylko jako czwarty do brydża.

Podziękował z wylaniem, obiecując złożyć wizytę w jak najkrótszym czasie.

— A mnie? — zagadnęła go zalotnie Anna.

Pobladł znów i lekka zmarszczka zarysowała mu się między brwiami. Unikał jej wzroku.

— Również — odpowiedział uprzejmie.

— — — — — — — — —

Wanda wróciła do salonu zamyślona. Usiadła na fotelu i spuściwszy głowę zdawała się debatować nad jakimś niepokojącym dla niej problemem. Stary pan Zułowski sapiąc i postękując dźwignął się z fotela.

— Noc krótka, dzień długi — pora spać moi kochani — rzekł, kierując się do drzwi.

Leon podniósł się również i złożywszy ukłon w stronę siedzącej wysunął się z pokoju.

Wanda zostawszy sama przeciągnęła się jakby z ulgą i zaśmiała głośno. Ale nie był to wesoły śmiech. Dźwięczały w nim ostre tony, dźwięczały łzy.

* * *

W parę dni potem Wanda pojechała autem do miasta i wstąpiła do Anny. Znała ją mało i nie czuła do niej zbytniej sympatii. Spotykała ją u pani Haliny, gdzie Anna bywała prawie codziennym gościem. Mąż Anny był sekretarzem w starostwie, ceniony jako pracownik i człowiek.

Zastała Annę w domu. Zajmowała ona z mężem mały domek w ogrodzie na jednej z bocznych ulic. Pokoiki były niskie i ciasne, ale umeblowane wygodnie i gustownie.

Ucieszyła się bardzo gościem. Posadziła ją w wygodnym fotelu, poczęstowała czekoladkami, kazała służącej podać herbatę.

Rozmawiały o ploteczkach, o znajomych, o małych drobnych wydarzeniach życia codziennego prowincjonalnego miasteczka, gdzie wszyscy się znają, jeżeli nie osobiście to z widzenia, gdy Anna nagle naprowadziła rozmowę na Leona.

— Jaka ta Polska mała pomimo swego dużego obszaru. Nie spodziewałam się nigdy spotkać Leona w tym zapadłym kącie. Nie wierzyłam oczom, gdy ujrzałam go w salonie pani i to w charakterze domownika.

— Pani go zna dawno? — spytała Wanda bez zbytniego zainteresowania, raczej z uprzejmości.

— Tak, od dzieciństwa. Majątki naszych rodziców graniczyły o miedzę. Kiedyś tam byliśmy nawet zaręczeni, coś z rok, przed wojną jeszcze, ale gdy się przekonał, że posag mój nie będzie tak duży, jak się spodziewał, więc zerwał. Lata wojny rozdzieliły nas. Spotkaliśmy się ponownie dopiero w Polsce, w Warszawie. Byli z matuchną w bardzo ciężkich warunkach. Znalazłam posadę dobrze płatną. Pomagałam im jak mogłam i czym mogłam. Zapomniałam krzywdy. Kochałam go wciąż... zaręczyliśmy się znów i znów zerwał ze mną, choć na kolanach przysięgał mi, że byłam jego jedyną miłością. Mówiono mi, że starał się o posażną pannę, córkę bogatego przemysłowca. Dlaczego małżeństwo to nie doszło do skutku i dlaczego porzucił dobrze płatną posadę w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie rokowali mu świetną przyszłość — jest to dosyć ciekawa tajemnica.

Głos jej drżał, oczy trzymała spuszczone, palcami skubała materiał sukni.

— Taki z niego ptaszek — myślała Wanda z goryczą i zjadliwą ironią.



Uliczka małego miasta

Wróciła do domu wcześniej niż miała zamiar. Opowieść Anny poruszyła ją i wzburzyła tak, że straciła ochotę do odwiedzenia pani Haliny.

Kazała szoferowi wieźć się wprost do domu.

Wuj miał zajść do proboszcza na pogawędkę i partię szachów; będzie więc sama. A samotności tej pragnęła, by uciszyć wzburzone nerwy, uspokoić rozżalone serce, obudzoną pamięć.

Kiedy samochód stanął przed domem, nikt nie wyszedł na jej spotkanie. Pałac tonął w mroku zapadającej nocy. Po szerokich kamiennych schodach podjazdu weszła do sieni. W ciszy wieczoru doszła ją muzyka płynąca z poza drzwi salonu. — Ktoś grał na pianinie.

Nerwowym ruchem zdjęła skórzaną czapkę z głowy, ściągnęła rękawiczki i cicho uchyliła drzwi salonu.

To grał Leon. W szarym półcieniu sylwetka jego rysowała się ciemną plamą. Zatrzymała się u drzwi, wsunęła się za portierę.

Leon zatopiony w muzyce nie słyszał szmeru otwieranych drzwi i lekkich kroków. Dusza jego oderwała się od rzeczywistości, zapomniała o tragicznych przejściach czasów ostatnich. Poczuł się znów młodym, odważnym, hardym, pewnym siebie dziedzicem na Bilince z przyległościami, pięknym uwodzicielem, gorącym, namiętnym kochankiem, poszukiwanym skwapliwie przyjacielem.

Zawędrował w krainę marzeń i zatrzymał się w niej szczęśliwy ułudą. Ujrzał się pędzącym przez ośnieżone stepy w sankach zaprzężonych w parę orłowskich rysaków. W uszach dźwięczały mu janczary. Dźwięczały one i na strunach fortepianu.

To widział się w parku. Wyciągnięty wygodnie na miękkiej murawie u nóg matki, przekomarzał się z nią, a ona pieszczotliwie głaskała go po twarzy. I znów... miesiąc maj... noc księżycowa. Krzaki bzu... słowiki... subtelny zapach narcyzów i bzu... pieśń miłosna słowika i Krysia... Krysia, która go nigdy nie kochała, raczej lubiła, i która bez żalu odeszła od niego, by nie powrócić więcej, i wyszła za mąż za włoskiego księcia, całującego ją jednego dnia, a zdradzającego z pierwszą napotkaną kelnerką lub robotnicą fabryczną drugiego.

— Krysia, urocze zjawisko, rusałka jarów naddnieprzańskich! Nie było to jej winą, że nie mogła go pokochać, że nie był jej typem...

Pianino wzdychało, nuciło, śpiewało pieśnią słowiczą, szumiało wiatrem stepu, szeptało zaklęcia miłosne, żaliło się lub śmiało, a grający nie pamiętał nic, co nie było przeszłością, nie słyszał nic, co się koło niego działo. Nie usłyszał też spiesznych cichych kroków kobiecych oddalających się w głąb domu.

Pobladła twarz dziewczyny i gorejące jej oczy znikły zza portiery, nierówne, dziwnie ociężałe kroki umilkły, ale mężczyzna grał dalej wpatrzony w wyczarowaną przez siebie wizję przeszłości.

Wanda usiadła ciężko w fotelu w swoim pokoju i twarz ukryła w dłoniach. Muzyka wciskała się i tutaj, przesłodka, przejmująca, muzyka marzeń i wspomnień.

I dla niej była to także muzyka wspomnień, lecz wspomnień gorzkich, tragicznych, pełnych upokorzenia zawiedzionych złudzeń, bolesnych odkryć i rewelacji. Z improwizacji Leon przeszedł na „As dur" Chopina, to znów popłynęły rzewne dumki Czajkowskiego. One to, te dumki dopełniły kielich goryczy wezbranej w duszy dziewczyny pod wpływem muzyki.

Ten „As dur" i te dumki obudziły w niej najbardziej bolesne i poniżające wspomnienia, pamięć o bezgranicznej zarozumiałości i chamstwie duchowym tego, który był ideałem jej marzeń dziewiczych. Obecnie wspomnienie to było tylko głęboko upokarzające, ale wówczas złamało jej duszę, zraniło serce na lata długie, zabiło w niej wiarę w mężczyzn.

Miała wówczas 23 lata, szczęśliwa rozkochana do niepamięci nie widziała świata Bożego poza nim. Był jej dalszym sąsiadem, parę lat starszy od niej. Przystojny, zachłanny, typ przeciętnego zdrowego mężczyzny. Zakochała się w nim i z promienną radością przyjęła jego oświadczyny. Wybrała go z pomiędzy licznych kandydatów do jej ręki i dziedzictwa, uwielbiała go, dostosowując się do jego życzeń i planów, zgadzając się i aprobując z góry wszystkie jego projekty.

Aż tu... było to w wilię jej ślubu. Ceremonia kościelna miała się odbyć w parafii, w kościele ufundowanym przez jej przodka.

Goście weselni, rodzice pana młodego i on sam zjechali już do pałacu. Gwarno więc było tego wieczora w obszernych salonach na stopę magnacką postawionego domu. Uciszyło się dopiero dobrze po północy. Wanda choć przemęczona do ostatecznych granic usnąć nie mogła.

Dokuczało jej pragnienie. Nie chcąc budzić służącej narzuciła szlafrok i zeszła na dół w poszukiwaniu wody sodowej.

Szła na palcach przez korytarz, a na schodach puszysty chodnik tłumił kroki jej nóg obutych w miękkie ranne pantofle.

W przyćmionym świetle wiszącej lampy w hallu ujrzała narzeczonego całującego jej pannę służącą Basię, szczupłą ciemnowłosą „cyganeczkę", jak ją nazywał żartobliwie pan Zułowski. Dziewczyna szamotała się w jego ramionach, próbując się z nich wydostać, ale męskie prężne ręce trzymały ją silnie.

— Niech mnie dziedzic puści — szeptała błagalnie dziewczyna — jeszcze ktoś zobaczy...

— Wszyscy śpią — odszepnął. — Chodź do mnie, czarnulko.

Ciągnął ją do swego pokoju, który znajdował się na prawo od drzwi wejściowych.

— Nie bądź głupia — perswadował, gdy mu się opierała — cóż to, tak nagle stałaś się cnotliwa.

— Niech mnie dziedzic zostawi w spokoju — prosiła — nie dziś — jutro przecież pana dziedzica ślub...

Roześmiał się lekceważąco.

— Żenię się z twoją panią dla pieniędzy, ale kocham tylko moją prześliczną cyganeczkę. Chodź...

Wanda zdusiła w sobie okrzyk gniewu i oburzenia. — Więc takim okzał się jej ideał kochanka i męża. Och, zgnieść w sobie ten ból piekący ogniem w sercu, to uczucie zawodu!...

Cierpiała bardzo, ale była nie darmo wielką panią z urodzenia, potomkinią mężnych rycerzy średniowiecznych, odważnych jak lwy, a dumnych jak lucyfery. Nie okaże nędznikowi nic prócz pogardy, nie da mu tej satysfakcji, by mógł się domyśleć jej bólu i upokorzenia. Wysunęła się z cienia i opanowana, chłodna, wyniosła zawołał służącą:

— Basiu, idź do Tomasza i każ mu obudzić furmana pana Kalinieckiego, żeby podjechał natychmiast pod ganek, bo pan dziedzic wraca do Kaliniec. Niech się spieszy, by przed wschodem słońca pan dziedzic mógł wyjechać z Bereźnej.

Wydawszy rozkaz, nie spojrzała nawet na osłupiałą parę, ale zawróciwszy poszła wolno z powrotem do siebie.

Dopiero w sypialni opuściło ją panowanie nad sobą. Upadła ciężko na otomanę i ścisnęła skronie dłońmi.

Tak się skończyło jej marzenie o szczęściu i miłości. Nie mogła płakać, w głowie czuła zamęt, w duszy pustkę. Siedziała skurczona, nieruchoma w ciszy nocy nie czując zmęczenia ni senności. Słyszała uderzenia zegara na godzinę drugą, tętent koni i skrzypt kół po wysypanej żwirem alei, patrzyła na wschód słońca. Nie poruszyła się, nie zmieniła pozycji. Siedziała nieruchomo, jakby wykuta z kamienia. Czekała na przebudzenie się służby.

Wreszcie zegar uderzył sześć razy. Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie wstała, podeszła do biureczka i napisała do proboszcza, że ślub został odłożony na czas nieokreślony. Zakleiła kopertę, zaadresowała i wtedy dopiero nacisnęła dzwonek.

— Odnieść natychmiast i doręczyć osobiście księdzu proboszczowi — rozkazała głosem spokojnym, normalnym.

Gdy lokaj znikł, owinęła się szczelniej w szlafrok i poszła do pokoju wuja.

Stary pan nie spał już. Palił papierosa i myślał o swej ukochanej siostrzenicy, o jej przyszłości. Narzeczony nie podobał mu się, miał do niego uprzedzenie, próbował nawet odwodzić siostrzenicę od zamążpójścia za niego, ale Wanda zbyt była zakochana i szczęśliwa, by na jego przestrogi zwracać uwagę. — Kocham go — było jej jedyną i stałą odpowiedzią na nieśmiałe perswazje wuja.

— Wejść — zawołał w odpowiedzi na jej stukanie.

Widząc wchodzącą siostrzenicę, uniósł się na łokciu.

— Co się stało? — spytał zdziwiony jej tak ranną wizytą, bo ślub miał się odbyć w południe po uroczystej Mszy św.

— Nie będzie dziś ślubu — oznajmiła mu bez żadnych wstępnych omówień.

Siadł gwałtownie na łóżku, myśląc, że nie dosłyszał. — Coo?

— Nie będzie dzisiaj ślubu — powtórzyła machinalnie.

— Co się stało? Co zaszło? — dopytywał się.

— Nic nadzwyczajnego. Przekonałam się, że Roman nie jest odpowiednim dla mnie mężem i kazałam mu opuścić Bereźnę. — Wyjechał w nocy, o drugiej.

— Wyjechał?! Moja kochana, byłaś przecież w nim tak bardzo zakochana.

Niespodziewanie dla siebie i dla wuja upadła mu na piersi i wśród łkań wyznała całą prawdę.

— Co za łotr — stękał stary pan, pełen oburzenia. — Biednaś ty — głaskał ją po głowie i tulił do siebie ze współczuciem.

Przed godziną dziewiątą wyjechała z domu samochodem do Warszawy, a stamtąd do Zakopanego, pozostawiając wujowi nieprzyjemną funkcję powiadomienia gości o nocnych wydarzeniach.

Wróciła po dwóch tygodniach niby ta sama, a inna. Odeszła od niej bezpowrotnie pewność siebie i swego uroku, radość życia, miękkość spojrzenia i obejścia.

Jedna noc zrobiła z marzycielskiego dziewczątka dojrzałą kobietę, oschłą, wyniosłą, która przeszłość zamknęła w sercu i pamięci na cztery spusty i nie odmykała jej nigdy i nigdy już nie pozwalała na taki luksus, jak marzenia.

I nagle ta muzyka tak pełna niebezpiecznych wspomnień, tak bardzo znana. To samo dotknięcie klawiszy, to samo ujęcie gry, ten sam rodzaj muzyki sentymentalnej, ujmującej.

— Musi to zatrzymać; muzyka ta nie może mieć dalszego ciągu, nie może się powtórzyć!...

Dźwięk gongu, wzywający na kolację przerwał jej myśli. Służba, dowiedziawszy się od szofera, że pani wróciła, krzątała się pospiesznie koło posiłku.

Z ciężkim westchnieniem podniosła się i zadzwoniła na pokojówkę. Z jej pomocą przyczesała włosy, zmieniła suknię, przypudrowała twarz i zeszła na dół chłodna, spokojna, jak gdyby żadne wspomnienia przed chwilą nie poruszyły całego jej jestestwa.

Leon usprawiedliwiał się z tego, że ośmielił się usiąść do fortepianu bez jej pozwolenia.

— Nic nie szkodzi — odpowiedziała obojętna, wyniosła.

Popatrzył na nią uporczywie, chcąc pochwycić jej wzrok, lecz ona patrzyła na kwiaty i srebra na stole lub ponad jego głową w zieleń parku. Słyszał od pana Zułowskiego, że siostrzenica jego chociaż obecnie nie grywa na pianinie — był jednak czas, parę lat temu, iż grywała dużo i chętnie — lubi dobrą muzykę i zna się na niej.

Spoglądając na jej poważną, obcą, daleką myślą od otoczenia minę, myślał z urazą i niechęcią:

Czy znajdzie się ktoś na tyle wytrwały, by obudzić do życia tę Galateę, tę śnieżną królewnę? Kto będzie w stanie rozgrzać jej zimną krew i wywołać tęsknotę za miłością?...

Włosy jej w słońcu lśniły jak miedź, mieniły się jak dukatowe złoto. Nie lubił rudych kobiet dopóki nie poznał Wandy. Obecnie kolor rudy wydawał mu się najpiękniejszym kolorem włosów. Jak mógł kiedy zachwycać się złoto-blond włosami i nazywać je promieniami słońca. Głupi, bezbarwny, nieokreślony słomiasto-żółty kolor, nadający wampirowi wyraz niewinności, a diablikowi anielskości.

Zapatrzył się na te włosy ze szczerym zachwytem. Niespodziewanie podniósłszy wzrok spotkała się z tym jego zachwyconym spojrzeniem.

Wyraz niechęci mignął w jej źrenicach, brwi zmarszczyła niezadowoleniem.

Spuścił oczy i na twarz wybił mu się słaby rumieniec. Był zły na nią za upokorzenie go w tak wyniosły sposób. — Patrzy na mnie jak na coś niskiego, niegodnego podnieść na nią wzrok — pomyślał z goryczą.

Nie spojrzał na nią więcej i nie odezwał się ani słowem do końca obiadu.

— — — — — — — — —

Następnej niedzieli, wiedząc, że Wanda wyjechała z panem Zułowskim z wizytami w sąsiedztwo, Leon podszedł do pianina. Cieszył się zawczasu tą muzyką w samotności. Była ona balsamem na jego niegojącą się ranę serca. Była jakby rozmową z matką, której śmierci nie mógł zapomnąć na chwilę. Wspomnienie to szło za nim ciągle i wszędzie i tylko muzyka łagodziła mu chore nerwy, trzymane na wodzy siłą woli dorosłego mężczyzny.

Ujął za pokrywę, by ją podnieść. Nie drgnęła. Pianino zostało zamknięte na klucz.

Pociemniało mu w oczach na sekundę z bólu upokorzenia. Udzieliła mu lekcji dobrego wychowania, jemu, hrabiemu Bilińskiemu. Wskazała mu jego miejsce w hierarchii społecznej.

Ociężałymi krokami opuścił salon, przeszedł podjazd, aleję topolową i poprzez pola skierował się na plebanię.

Proboszcz był u siebie. Z brewiarzem w ręku przechadzał się wolno po malutkim ogródku probostwa. Zauważywszy Leona zdjął okulary, założył nimi odczytywaną modlitwę i szedł mu naprzeciw szczerze uradowany wizytą.

Podobał mu się ten młody, poważny mężczyzna, nie goniący za dziewczętami. Żadna skarga parafian na „pana rządcę" nie doszła jego uszu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

uł. Witold Mataczyński — Łysinin.

		do		
wy	cze	lecz	jest	woc
	gorz	O	świad	
	zdrz	nia	ki	

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

Uzupełnianka

uł. Jan Feliks Płóciennik.

		n	i	c	z	k	a
				d	n	i	a
	r	e	n	e	u	s	z
	w	i	a	r	t	k	a
			e	c	z	k	a
	z	c	z	o	t		a
d	z	i	e	s	i		ć
		d	ą	s	a	n	y
		n	o	g	r	a	m
		e	t	e	l	n	y
	e	h	o	d	ź	c	a

W wolne kratki rysunku należy wpisać litery, które będą dopełnieniem odnośnych wyrazów. Wpisane litery — czytane kolejno — dadzą rozwiązanie: hasło, które jest na ustach każdego prawdziwego Polaka.

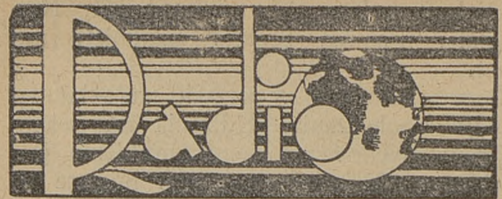
Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 20 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 18 „Moich Powieści": 1) Konikówka: „Kobieta o wiele więcej stara się drugich uszczęśliwić, niż siebie". 2) Szarada: Baryton.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Zimoch Wacław — Wójcin k. Bolesławca, Lenart T. — Rakowice, Kamiński Leon — Grzybno, H. Franke — Strykowo, Gwizdała Anna — Miłoszewo, Czernichowski A. — Kroski, Samulski Władysław — Nowa - wieś Wielka, „Szczęsny" — Główno, Madloflowa M. — Główna, „Wicha", Chełmikówna Joanna — Bydgoszcz, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Janicki Dyonizy — Gniezno.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Kamińskiemu z Grzybna i Gwizdale z Miłoszewa.



Niedziela, dnia 15 maja 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Regionalna transmisja z Kalisza 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.30 Muzyka obiadowa 14.00 Transmisja z uroczystości przekazania armii 10 czołgów ufundowanych i wykonanych przez pracowników P. Z. Inż. 14.45 Audycja dla wsi 16.25 Recital śpiewaczy Sergiusza Benoni'ego (z Wilna) 16.05 Wolfgang Amadeusz Mozart: Trio Es-Dur 16.45 „O ochronie zabytków przeszłości" — odczyt 17.00 „Zapomniany kabaret" — podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Transmisja z marszu im. Marszałka Piłsudskiego „Sulejówek-Belweder" 19.20 Brat znajduje brata — komedia radiowa 19.35 Słynni wirtuozi — 21 audycja 21.15 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Opowieść o Wagnerze — III audycja.

Poniedziałek, dnia 16 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Suity — w wykonaniu Orkiestry Rozgł. Wileńskiej 17.15 Koncert kameralny 18.10 Sylwetki kompozytorów jazzowych — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Społeczne i artystyczne zadania literatury" 20.00 Koncert rozrywkowy — z Poznania 22.00 Koncert orkiestry P. R. Muzyka francuska.

Wtorek, dnia 17 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Rzeczy ciekawe z pięciu części świata" 16.15 Marsze, walce i mazury w wykonaniu Ork. Rozgł. Lwowskiej. 17.00 Najstarsze centrum górnictwa polskiego — odczyt 17.15 Recital fortepianowy Sylwii Serbescu 17.50 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki" — wieczór 17-ty „Goethego rozmowy z Eckermanem" w opr. J. Parandowskiego 19.35 Koncert w wyk. ork. mandolinistów 20.05 Opera 22.30 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Środa, dnia 18 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 „Hokus-pokus-dominikus" — audycja dla dzieci 16.15 Koncert popularny z Wilna 17.00 „Żołnierz polski w średniowieczu" — odczyt 17.15 Jan Brahms: Kwartet fortepianowy op. 26 A-Dur 17.50 Przygotowanie dziewcząt do obrony kraju — pogadanka 18.10 Piosenki kompozytorki francuskiej Mireille — płyty 18.35 „Największa sprawa" — fragment z powieści 19.20 Recital śpiewaczy Maurycego Janowskiego 19.35 Stary doktor odpowiada na listy 19.50 Transmisja fragmentu meczu piłkarskiego „Wandaras Londyn — Reprezentacja Śląska" 20.10 Europejskie orkiestry taneczne — płyty 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Henryka Sztomki 21.45 „Poeci Apelu" — kwadrans poezji 22.00 „Kalejdoskop" — lekka aud. muzyczna z Poznania.

Czwartek, dnia 19 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Piosenki St. Niewiadomskiego — poranek muzyczny dla szkół powszechnych 11.40 Impromptu fortepianowe — płyty 12.03 Audycja południowa 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Koncert solistów 17.00 O bibliotece naukowej dla młodzieży 17.15 Gra Zespół Salonowy Rozgłośni Poznańskiej 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Premiera słuchowiska — „Pełną parą na Hongkong" 19.30 Karol M. Weber Grand Duo Concertrant F—Dur op. 48 20.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.45 „Portret Kardynała Newmana" — szkic literacki ks. biskupa dr. Józefa Gawliny 22.00 Twórczość Karola Szymanowskiego — 6-ta audycja — Transmisja z Konserwatorium Warszawskiego 23.00 „Dni Krakowa" — odczyt w jęz. niemieckim.

Piątek, dnia 20 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Geogres Thill (tenor) solo i w duecie — płyty 12.03 Audycja południowa 15.45 „Jak pracują nasze mamy: Gospodyni Wiejska" — aud. dla dzieci 16.15 „Toast z pantofelka" — lekka aud. muzyczna 17.00 O Kongresie pracy obywatelskiej kobiet — mówić będą Aleksandra Piłsudska i dr. Hanna Pohoska 17.15 Zespołowa muzyka wokalna 18.10 Wielka orkiestra fortepianowa — Ivory Keys — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Zrzędność i przekora" — 8-ma wieczór komedii A. Fredry 20.00 Koncert symfoniczny 22.00 Muzyka taneczna ze Lwowa.

Sobota, dnia 21 maja 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Franciszek Schubert: fragmenty z Tria B-Dur op. 99 12.03 Audycja południowa 15.45 Czarodziejski kamień" — słuchowisko dla dzieci 16.15 Od Aten do Bayreuth — 9-ta audycja 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego 18.15 Len Fillis gra na gitarze hawajskiej — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 Gdy zadźwięczą przy piosence mandoliny" — aud. ze Lwowa 21.00 Muzyka taneczna 21.45 „Popularność" — wesoły skecz.



NIE ON WINIEN

— Tak, drogi przyjacielu, muszę ci powiedzieć, że alkohol i tylko alkohol winien jest twemu nieszczęściu.

— Dziękuję ci stary przyjacielu, ty jeden spostrzegłeś, że to nie ja jestem sobie winien.

PRZESADA

Lekarz: — Najważniejsza rzecz dużo ruchu. Pan pewnie cały czas siedzi?

Pacjent: — Cały czas — to przesada. Ostatnio siedziałem tylko 3 miesiące.

NIE GADAJ NIC PRZED DZIEĆMI

— Wuju, powinien umyć swój charakter!

— Co ty wygadujesz, Olesiu?

— Tatuś mówi, że ty masz brudny charakter.

W POSZUKIWANIU ŻONY

— W piśmie matrymonialnym umieściłem ogłoszenie. Dostałem kilkaset ofert.

— Czy są ciekawe?

— Nie, prawie wszystkie jednakowe. Zaczynają się od słów: „Szukasz pan żony? Weź sobie moją..."

PO LATACH

— Teraz poznaję pana. To pan oświadczył się przed laty o moją rękę? Ale miał pan wtedy u mnie pecha.

— Tak jest, łaskawa pani. Miałem wtedy to szczęście, że miałem pecha.

ZALETA

Młody człowiek zamierza się ożenić. Narzeczona jest miłą osóbką. W kilka godzin zbiegli się wszyscy krewni.

Wuj piorunuje: — Ona nie ma ani grosza!

Ciotka narzeka: — Jej ojciec jest tylko rzemieślnikiem!

Babka uważa, że panna jest za wysoka. Dziadek, wolałby, gdyby była pełniejsza. Bratu nie podoba się jej twarz, siostrze wydaje się za głupia. Każdy wynajdywał co innego.

Narzeczony wysłuchał to wszystko po czym odparł spokojnie:

— Ale ona ma jedną olbrzymią zaletę.

— Jaką?

— Nie ma krewnych, którzy się do wszystkiego wtrącają.

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

Pan Boczek ma niezmiernie trwożliwą naturę. Ledwie go trochę rozbolała głowa, już zapakował się do łóżka. Odwiedza go przyjaciel.

— No, jak się miewasz stary? Wyglądasz doskonale!

— E, diabła tam — narzeka chory. — To byłoby straszne, gdybym teraz umarł! Mam przecież tyle długów! Nie chciałbym umierać jako czyjś dłużnik

Przyjaciel zrywa się i pędzi do drzwi.

— Pani Boczkowa! — woła — niech pani zaraz pośle po jakiegoś dobrego lekarza! Mąż pani bredzi!

BEZSENNOŚĆ

Dwóch przyjaciół spotyka się na ulicy: — Co u ciebie słychać? — pyta jeden.

— Takie mam przykrości i niepowodzenia w interesie, że nie sypiam po całych nocach.

— To rzeczywiście strasznie przykre. I co pan na to robi?

— Cóż mam robić? Sypiam po całych dniach.

BŁĘDNE KOŁO

— Panie, panie, wolnego! Zapomniał pan zapłacić mi za wódkę!

— Przecież na to ją piłem, aby znaleźć w niej zapomnienie!

PRZESADNA GOSPODYNI

Pani Widełkowa zaprasza pana Kajcia na kolację.

— Ale czy to panu nie przeszkadza, że nas będzie przy stole trzynaście osób? — pyta na końcu gościa.

— O, pani dobrodziejko, ja jem za dwóch.

NAJLEPSZY DOWÓD

— A po czym świadek poznał, że oskarżony był pijany?

— Było to jasne, panie sędzio. Potrząsał silnie latarnią, a potem pochylał się i szukał na chodniku jabłek.

WAŻNE ZAJĘCIE

Pan. — Moje dziecko, powiedz tacie, żeby tu wyszedł do mnie przed dom na chwileczkę.

Chłopiec: — Kiedy tata nie ma czasu.

Pan: — A co on robi?

Chłopiec: — Mama go bije.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. E. Gołąb — Siemianowice. Nowela pod tyt. „Pantera" — słaba. Pomysł dobry, lecz jeszcze zbyt nieudolnie opracowany. Styl szwankuje. Nie zamieścimy.

„Ferdy". „Ina" i „Jego sen" — słabe. Zbyt dużo w nich osobistych wrażeń. Brak wyrobienia literackiego i odpowiedniego zacięcia. Nie skorzystamy, lecz prosimy pracować dalej.

P. Antoni J. Piotrawieś (?) „Dworek" i „Po egzaminie" mało ciekawe i słabo opracowane. Brak wyrobienia. Prosimy o inne, możliwie czytelniej pisane.

„Smutne Serduszko". „Nieszczęśliwa miłość Izy" jest zbyt słaba, by ją publikować. Jeżeli chodzi o sam pomysł, to autor piszący nowelę musi zawsze wziąć pod uwagę, że jego własne przeżycie, chociażby wielkie na nim robiło wrażenie, może nie zainteresować ogółu. Może pomysł, o którym w tym wypadku mowa, nie należy do banalnych, to jednak opracowanie jego i samo podejście do tematu jest zbyt słabe.

E. G. Śliwice. „Sen" nie do druku. Słabe. „Klęska pod (?) Marną" po gruntownej poprawce redakcyjnej ewentualnie pojdzie. Zatrzymujemy w każdym razie. (N. B. Owa bitwa odbyła się **nad** rzeką Marną, a nie pod).

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty. kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście na 3 łamy podwójne à 68 mm Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.